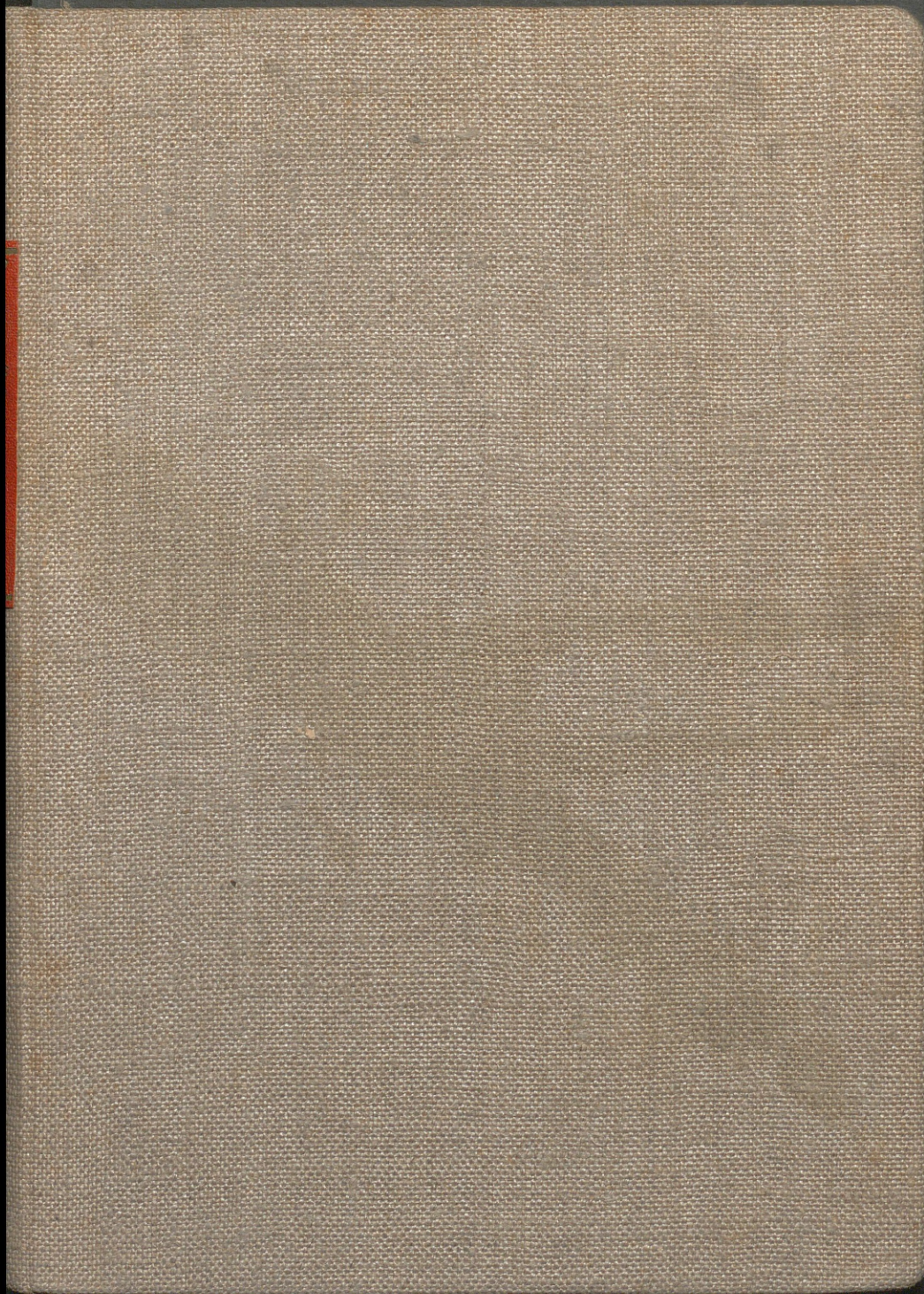
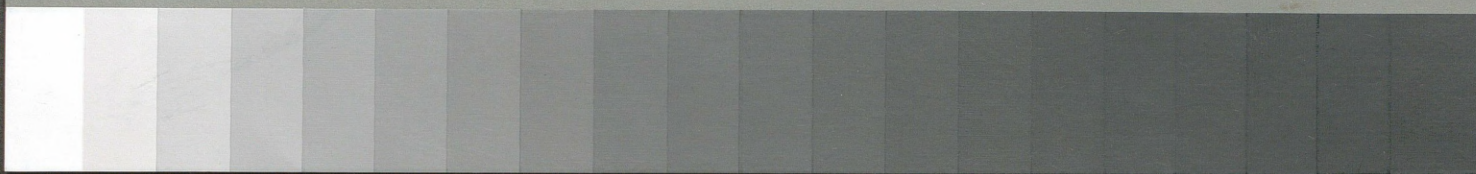


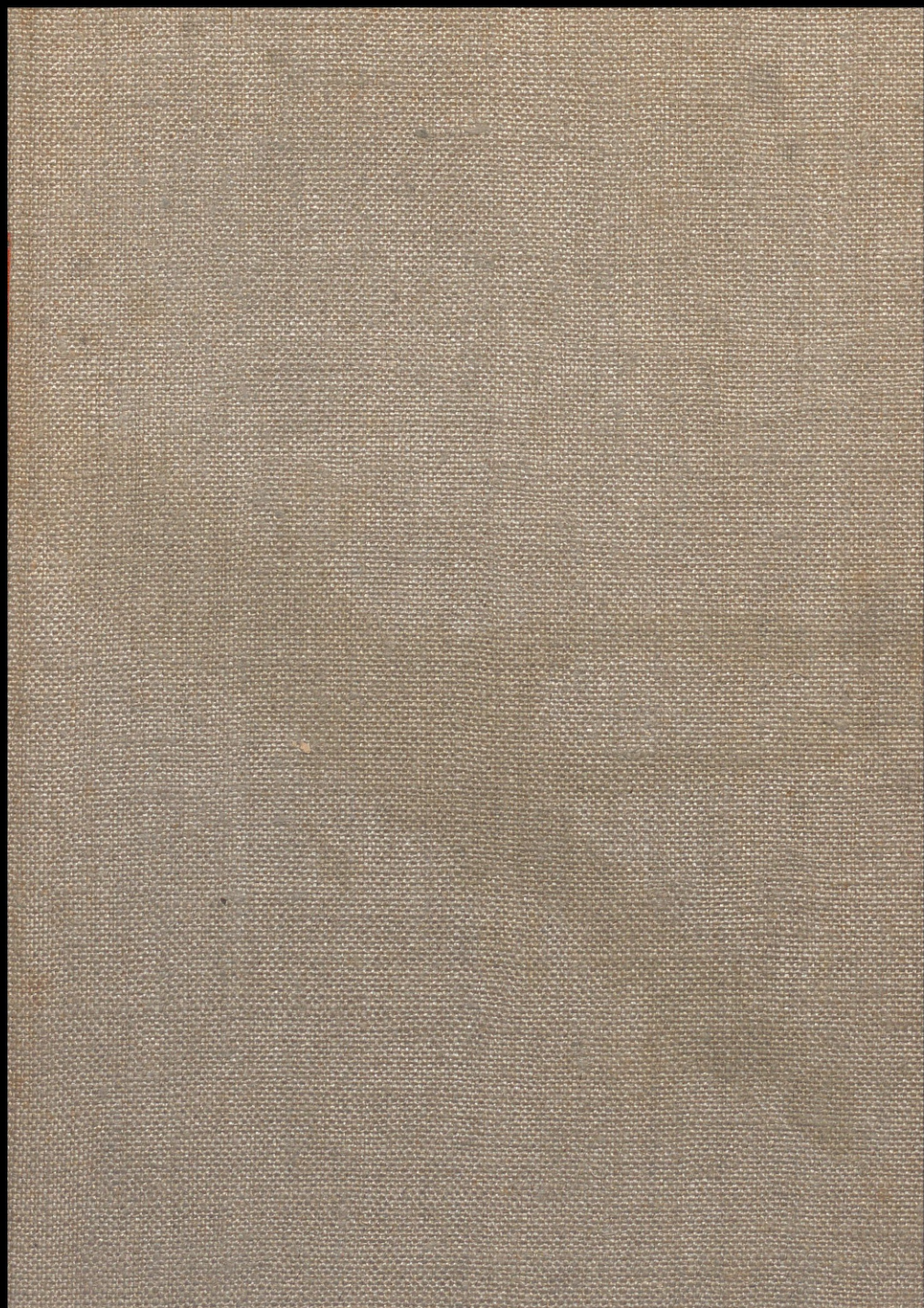


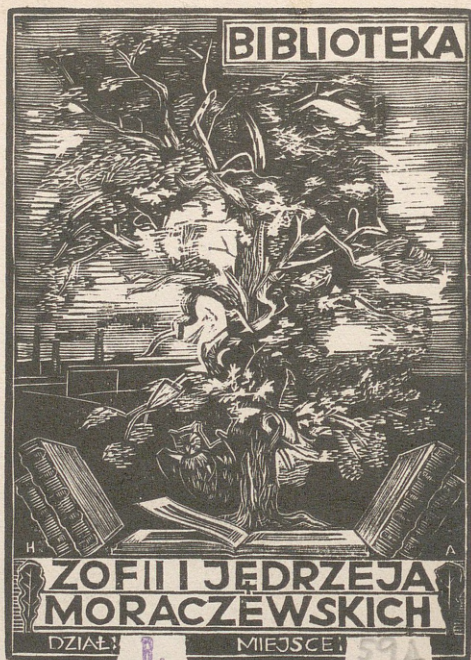
Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19







fest 1 eg. olop/1

R. W. HOROSZKIEWICZ

W PIERWSZYM PUŁKU

NOTATKI LEGJONISTY

BIBLIOTEKA
ZOFII I JĘDRZEJA MORACZEWSKICH



WARSZAWA 1935

WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-OŚWIATOWY

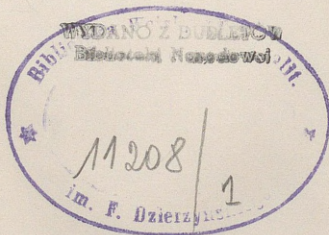
2.0

R. W. HOROSZKIEWICZ

W PIERWSZYM PULKU

NOTATKI LEGJONISTY

PRAWA PRZEKŁADU I PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE.



GLÓWNA DRUKARNIA WOJSKOWA WARSZAWA, PRZEJAZD Nr 10

1950 D 429/116

I. PISANE NA TORNISTRZE.

Pamiętnik	7
Z pierwszych dni	13
Kielec	17
Pierwsza kadra	
W sztabie Śmigłego	
W pochodzie	
Pod Łowczówkiem	
Ostatnia noc pod Sarmalą	42
W trzeciej kompanii	44
Rada Żołnierska	49
W Jaksanicach	57
Listy zdaleka	60

GENERALOWI DYWIZJI
 EDWARDOWI ŚMIGŁEMU RYDZOWI
 MOJEMU DOWÓDCY
 POŚWIĘCAM.

II. NA TŁE WSPOMNIENIEN...

Fotografje	67
W powstańczych szeregach...	73
Kwatermistrz	76
Listy	80
Imieniny Złotia	84
Teatr w lesie	89
Karta wojskowa...	93
Na włoskim froncie	97
SPIS NAZWISK	101

I. PISANE NA TORNISTRZE.

Pamiętnik	7
Z pierwszych dni	13
Kielce	17
Pierwsza kadrowa	23
W sztabie Śmigłego	27
W pochodzie	31
Pod Łowczówkiem	36
Ostatnia noc por. Sarmata	42
W trzeciej kompanji	44
Rada Żołnierska	49
W Jaksmanicach	57
Listy zdaleka	60

II. NA TLE WSPOMNIEN...

Fotografje	67
W powstańczych szeregach...	73
Kwatermistrze	76
Listy	80
Imieniny Złoma	84
Teatr w lesie	89
Karta wojskowa...	93
Na włoskim froncie	97
SPIS NAZWISK	101

I. PISANE NA TORNISTRZE

7	Parmitnik
13	Z pierwszych dni
17	Kielce
23	Pierwsza kadrowa
27	W szlabie Śmigłego
31	W pochodzie
36	Pod Łowczówkiem
42	Ostatnia noc pod Sarmatą
44	W trzeciej kompanii
49	Rada Żołnierska
57	W Jaskaniach
60	Listy zdaleka

II. NA TLE WSPOMNIEN

67	Fotografje
73	W powstańczych szeregach...
76	Kwatermistrz
80	Listy
84	Imieniny Złotna
89	Tęcza w lesie
93	Karta wojkowa...
97	Na włoskim froncie

PAMIĘTNIK...

Pamiętnik z wojny. Wspomnienia lat i miesięcy, dni i nocy, ciężkich i krwawych, chwil za lata całe stających, dni pełnych uczuć i odczuć.

Zamknięte one wszystkie teraz w książeczkach małych, czarno oprawnych, zniszczonych i poplamionych. Notatki to z owych lat... pamiętniki z wojny.

Tak to się lekko pisze i mówi: „Pamiętnik z wojny“, jak-gdyby nigdy nic. A to przecież — pamiętnik z wojny.

Pierwsza data: — czwarty sierpnia 1914 r. A potem już szereg dat i nazw miejscowości, łańcuch cały dni krwawych i dni niespokojnych, nocy i dni, tygodni, lat wojny.

Czasy marszów, postojów, odpoczynków i pracy.

Krótkie zdania, pełne treści, i wiele po ich przeczytaniu rzeczy na pamięć przychodzi. To np. zdanie było kreślone na chwilę przed atakiem, to znowu notatka z okopów nieprzyjacielskich, w miejscu przed chwilą niedostępnem, a teraz już naszym pisana. Czasem: tylu zabitych, tylu rannych, czasem nazwisko kolegi bliższego lub dowódcy.

Dni krwawe, przeplatane dniami nudy, walki pozycyjnej, gdzie się zapisuje ilość bramek zdobytych w futbolu lub fotografie ciekawe a udane. I jak kwiat jasny, notatka o jakiejś kwaterze przemiłej lub imię kobiecie, które wywoła ze wspomnień złotowłosą główkę i uśmiech, i błysk oczu, rzucony ot tak sobie, a który przecież długo nieraz świecił żołnierzowi.

Wspomnień tłum i wrażeń moc, silnych, ciekawych.

Pierwsze wrażenie w bitwie... Zagłębiam się we wspomnienia, chcąc wyłowić pierwsze, najpierwsze, sięgam aż po dni sierpniowe 1914 r., gorące, znojne i oprócz tego gorąca, prócz oślepiającego blasku słońca nie pamiętam nic.

Później, wśród dni tyłu, tyłu bitew, góruje pamięć i ciekawość: co to dalej będzie (coś tak, jak na początku polowania lub balu) i głuchy niepokój, byle dobrze poszło, byle dobrze. W samej zaś bitwie różnie bywa; to zależy od warunków i otoczenia. Niech się znajdzie w plutonie jeden, dwóch „morowców“, nie tracących werwy ni humoru, a cały pluton będzie się trzymał doskonale.

Trzeba uwierzyć, że są ludzie, którzy jakby urodzili się już starymi wiarusami. Zachowują się w najgorszych sytuacjach, w największych niebezpieczeństwach tak, jakby one nie były dla nich nowością.

— Wiedziałem, że tak będzie, znam to już, nic strasznego, zdaje się mówić taki każdym gestem, każdym czynem, a jest ich dużo, więcej niż się przypuszcza.

I są inni, którzy się nie dadzą opanować niczemu, owszem sami panują nad wszystkim. A inni znowu — idą w bój z uśmiechem na ustach, z błyskami radości w oczach, nie tracąc nic ze swej wewnętrzności. Dla tych bitwa to coś nowego, ale znowu nie rzecz, którejby nie można zrozumieć, której należałoby się obawiać.

— Aha, tak to wygląda — naprawdę ładne. Że też można jeszcze tak ciekawe i nowe rzeczy oglądać na ziemi.

A jeszcze inni... ci, nad którymi panuje groza boju, panuje to, nieznanne. Ci nie mogą utrzymać na wodzy nerwów, szarpanych walką.

A są jeszcze całe szeregi typów pośrednich. Od panujących nad sobą całym wysiłkiem woli, byle nie dać poznać niepokoju, strachu, zużywających całą energję na opanowanie się, do ogarniętych wirem tłumy, nastrojem oto-

czenia i idących za większością. Wielu wyrobi się jeszcze, opanowywać się oni będą coraz łatwiej, aż zaczną wreszcie panować nad każdym położeniem. Bo wojna, to też szkoła charakterów, w której jednak trzeba drogo płacić za naukę. Co do strachu jeszcze, to naprawdę nieraz się nie ma nawet czasu pomyśleć, że właściwie należałoby się bać.

Przerzucam dalej kartki notatnika.

Przypomina on teraz zdarzeń wiele z kilku zdań, rzuconych wówczas w pośpiechu na papier. I przywodzi na pamięć dni całe i tygodnie data skreślona ołówkiem. Dni życia tego, tak niezwykle, a tak codzienne i takie pospolite, gdy się je bierze pojedynczo, każdy z osobna.

Nie każda bowiem bitwa musi być dla każdego krwawa. Nieraz przejdzie kilka godzin w oczekiwaniu na udział w boju, do którego wreszcie nie dochodzi. Innym razem bitwa ciężka dla innych, dla nas właśnie polega na przeleżeniu czasu jakiegoś w zbożu lub trawie i na wystrzeleniu kilkunastu naboju wskutek rozkazu:

— „Strzelać na brzeg tamtego lasu, celownik — tysiąc sześćset — —“ i tyle...

Zato o wiele więcej jest w pamiętniku zdarzeń zwykłych, codziennych, a jednak znamienitych. Chwil szarego życia obozowego, godzin marszu, godzin odpoczynków i postojów, wiele jest zapisanych w tych książeczkach małych, w skórzane oprawki zamkniętych.

Przeglądam kartki pokreślone i poznaczone, kartki z pozaginanymi i poobrywanymi brzegami, i staje przede mną okres życia, obfity w zdarzenia, okres przeistaczający duszę do głębi.

Rozwija się coraz bardziej wstęga walk legjonowych.

Wstają wspomnienia i cienie kolegów. Tych, którzy szczęśliwsi na polskiej polegli ziemi, i tych, którzy na dalekiej weneckiej legli równinie.

Trzeba pozbierać troskliwie, trzeba odgrzebać w pamięci nazwiska kirem osłonięte. I czyny poległych i przebieg życia. Należy się to od nas — tamtym.

Bo przeżyliśmy razem dni najwznieślijsze, jakie przeżyć można na ziemi, dni walk o wolność Ojczyzny.

Przeglądam kartki... Kartki zapisków z wojny... I nadchodzą wspomnienia dni wielkich. Dni z życia I brygady w latach 1914—1917...

Z PIERWSZYCH DNI.

Już od kilku tygodni panowała wokół gazetkowa atmosfera i zaczęły się ciągle na coś, co już, już nadchodzi. Kilku naszych szeregowców krakowskiej II drużyny, stale mieszkających w lokalu przy ul. Dolnych Młynów, w którym szczególnie zbrojownia miała dla nas po-
tężniejszą rolę. Drugim lokalem „drużyniackim”, również

I. PISANE NA TORNISTRZE...

W tym czasie rozprawiano przy czarnej kawie i papie-

rze. Wówczas ściłą styczność z redakcją „Nowej Reformy”, która nawet drukowała jakos w tym czasie kilka moich wierszy. Mogłem więc mieć łatwiej z pierwszej ręki wiadomości przychodzące do redakcji. Te wiadomości, (niektórych nie wolno było nawet ogłaszać i drukować), miałem poleceń nakładować w Komendzie Drużyn. Zwykle też koło 12-tej lub 13-tej w nocy, gdy nadeszły już ostatnie telefoniczne depesze, widywałem się w kawiarni „Esplanada” z Nałęczem Korzeniowskim lub innymi i opowiadałem, co i jak. Tam też zażegnaniu głównemu komendantowi D. S. Żegocie Januszajtutowi zgłosiłem wiadomość o zabójstwie arcyksięcia Ferdynanda i o konkretnej możliwości wojny.

Przyszły pierwszy dzień sierpnia. Pewnego popołudnia wyszedł do mnie, do kawalerskiego mieszkania przy ul. Kochanowskiego, Zygmunt Boncza-Karwacki, aby wziąć



Bo przystąpiły razem dni niepowtarzające, jakie przystyc
można do nich, dni walk o wolność Ojczyzny.

Przebiegiem kartki... Kartki zapisków z wojny... I nad-
chodzi wspomnienia dni wielkich. Dni z życia 1 brygady
w latach 1914-1917.

I. PISANE NA TORNISTRZE...

Z PIERWSZYCH DNI.

Już od kilku tygodni panowała wokół gorączkowa atmosfera i czekało się ciągle na coś, co już, już nadchodzi. Kilku nas, szeregowców krakowskiej II drużyny, stałe prawie siedziało w lokalu przy ul. Dolnych Młynów, w komendzie, a szczególnie zbrojownia miała dla nas pociągający urok. Drugim lokalem „drużyniackim“, również licznie odwiedzanym, było mieszkanie „ciotki“ Kwiecińskiej na placu Teatralnym, nad kawiarnią, gdzie nieraz do późnej nocy rozprawiano przy czarnej kawie i papierosach.

Miałem wówczas ścisłą styczność z redakcją „Nowej Reformy“, która nawet drukowała jakoś w tym czasie kilka moich wierszy. Mogłem więc mieć łatwo, z pierwszej ręki, wiadomości, przychodzące do redakcji. Te wiadomości, (niektórych nie wolno było nawet ogłaszać i drukować), miałem polecenie meldować w Komendzie Drużyn. Zwykle też koło 12-tej lub 1-szej w nocy, gdy nadeszły już ostatnie telefoniczne depesze, widywałem się w kawiarni „Esplanada“ z Nałęczem-Korzeniowskim lub innymi i opowiadałem, co i jak. Tam też samemu głównemu komendantowi D. S. Żegocie-Januszajtisowi zgłosiłem wiadomość o zabójstwie arcyksięcia Ferdynanda i o konkretnej możliwości wojny.

Przyszły pierwsze dni sierpnia. Pewnego popołudnia wpadł do mnie, do kawalerskiego mieszkania przy ul. Kochanowskiego, Zygmunt Bończa-Karwacki, aby wziąć



busołą i kilka innych drobiazgów. Nie wiedziałem wówczas, że pierwszy kawaleryjski patrol Beliny ruszał właśnie do Królestwa. Ruszyłem wkrótce i ja, przydzielony do kompanji drużyniackiej, która pod komendą Burhardta-Bukackiego połączyła się w Oleandrach z kompanją Związku Strzeleckiego.

W notesie z owych czasów posiadam następujący zapis:

— Kraków, Oleandry, 4 sierpnia 1914.

„— Jestem więc szeregowcem pierwszej sekcji, w 4 plutonie 1 kompanji kadrowej. Dowódcą sekcji jest Huk-Mirośław (Kowalski), dowódcą plutonu Kruk, nazywany Czarnym. Dowódcą kompanji jest Zbigniew. Kwaterujemy w drewnianym budynku, t. zw. „Oleandrach“. Śpimy na żelaznych łózkach, po trzech na 2-ch pozsuwanych. Ze mną śpią Wieniawa i Kosiński-Ogniewski. Wieniawa ma wspaniały koc kawaleryjski, którym się wszyscy nakrywamy. Jest on moim dalekim kuzynem i z radością się z nim spotkałem, nasłuchawszy się już przedtem różnych opowiadań o jego paryskich przygodach. Pisał wiersze, napisał jakiś dramat nawet, poza tem był słuchaczem medycyny. Oprócz niego i Ogniewskiego są w naszej sekcji: Borgjasz, Rafał, Hauke-Nowak, Kostek-Jabłoński, Kalina-Zieleniewski. Ze znajomych jest jeszcze Chorąży-Suchodolski, mój sekcyjny z Drużyn Strzeleckich, i Franek Polniaszek, stary sąsiad z Podola“.

Zacząłem więc nowe ciekawe, gwarne i ruchliwe życie wojskowe. Pogodne, jasne dni, wypełnione ćwiczeniami, śliczne, sierpniowe wieczory—śpiewem chóralnym, rozmowami z coraz to nowymi ludźmi, — przygotowaniami żołnierskimi... W Oleandrach zaczęło się robić ciasno, coraz to nowe oddziały przyjeżdżały...

Wszystko to trwało bardzo krótko. Na jednej z wieczornych zbiórek kompanji, już 5 sierpnia, ob. Norwid wybrał Suchodolskiego i mnie i tegoż wieczora jeszcze wyjechaliśmy do Krzeszowic.

A następnego dnia, 6 sierpnia, wczesnym rankiem, nasza kompanja, I kompanja kadrowa, przeszła granicę rosyjsko-austriacką i ruszyła na Miechów.

...W deszczowy, mglisty dzień przygotowywaliśmy kwatery w Krzeszowicach dla zbierających się oddziałów strzeleckich. Były tam jakieś baraki, jakaś szkoła, w której składowano broń, ogniska palone na łąkach i kilkuset ludzi w mundurach strzeleckich i ubraniach cywilnych, z różnorakiego rodzaju bronią lub bez niej... wszystko to trzeba było uporządkować, zorganizować, nakarmić.

Wyszedł wreszcie pierwszy transport z Krzeszowic dnia 7 sierpnia... Trzy kompanje strzeleckie pod dowództwem ob. Norwida-Neugebauera.

Tegoż dnia o g. 8.15 wieczorem przeszliśmy granicę w Paczołtowicach.

Z uśmiechem wspominam dzisiaj prawdziwie głęboką rozpacz z powodu funkcji, wyznaczonej mi wówczas przez ob. Norwida. Zostałem kucharzem, taborytą. Grzecznie nazywało się to podoficer gospodarczy. Radziłem sobie, jak mogłem, w każdym razie po przejściu granicy byłem już komendantem wozu i paru koni, gospodarza Jakóba Kołodziejczyka z Przegini, i miałem ośmiu podkomendnych, przydzielonych z kompanji. (Ignacy, Bochenek, Nabelak, Żuk, Grocholski, Bryś, Andrassy i mały Staszek, chłopak 15-letni)... Rozpacz moja miała bardzo uzasadnione podstawy, które zresztą również zapisałem: „Wojna się kończy za kilka miesięcy, a ja mam wozów pilnować...”!

Doszliśmy do Miechowa i tu położenie zmieniło się o tyle, że przydzielony do 2 kompanji kadrowej, którą dowodził Zosik-Tessaro, w tornistrze i z karabinem już, pomaszzerowałem na Kielce. Dowódcami plutonów w 2 kompanji byli: Sawa - Sawicki, Biliński, Stański, Tatar-Trześniowski. Przy Zosiku trzymaliśmy się we czwórkę, Demiańczuk-Krogulec ze Stanisławowa i ja, jako podofi-

cerowie, t. zw. wówczas — adjutanci kompanijni, i sanitariusze: Bystram i Załęga.

Wśląd za I kadrową przez Książ, gdzieśmy nocowali w pałacu Wielopolskich, przez Wodzisław doszliśmy dnia 10 sierpnia wieczorem do Jędrzejowa. Ruch zapanował w mieście duży, gdyż rozkwaterowały się tu wszystkie trzy kompanje kadrowe i oddział konny Beliny. Na murach ukazały się odezwy rządu narodowego, którego komisarzem był dr. Emil Bobrowski.

Noc z 11 na 12 sierpnia spędziliśmy na biwaku w jakimś lesie przy gościńcu kieleckim. Po raz pierwszy byłem wtedy na patrolu nocnym do pobliskiej wioski i po raz pierwszy stałem na placówce w polu...

Z brzaskiem dnia podjechał do nas oddział Beliny, a że mieli wolnego konia, po zameldowaniu się u Zosika i za protekcją Wieniawy dosiadłem go i... zostałem ułanem. Oczywiście długi karabin piechoty z miejsca boleśnie poobiął mi żebra, a siodło, jakieś prawdziwie „ekonomiczne“, zmuszało do cyrkowych sztuk z powodu rzemieni od strzemion, dziwnie obsuwających się naprzemian...

Ale wszystko to było drobnostką wobec faktu, że byłem już „starym“ żołnierzem, a serce me biło radośnie w takt kopyt konia, szczękających o biały, twardy gościniec kielecki, którym jechałem na wojnę...

KIELCE.

Dzień to był 12 sierpnia, owego pamiętnego 1914 roku. Służyłem od rana w polskiej kawalerji. Kawalerja to była, każdy przyzna, choćby ze względu na konie. Klacz miałem szpaczkę ładną, zgrabną, trochę może za delikatną. Cieszyła się razem z jeźdźcem dniem letnim, ciepłym, sierpniowym, parskając wesoło.

Jechaliśmy gościńcem szerokim białym. Belina-Prażmowski, Janusz-Głuchowski, Grzmot-Skotnicki, Skaut-Bańkowicz, Stefan Hanka-Kulesza, Kolec-Smoleński, Sępiński, Zdzisław Jabłoński, Woynicz, Wieniawa-Długoszowski. Wcale się nieźle oddziałek prezentował. Konie mieliśmy dobre, mundury jednakowe siwe, strzeleckie. Gorzej było z siodłami, które wielką mieszaninę przedstawiały, i z bronią. Ledwie kilku miało manlichery, reszta musiała się zadowalać jednostrzałowemi werndlami. Szable prawie wszystkie były czarne, rosyjskie. Zato co drugi miał bronka, a z nawiązką kryła wszelkie niedostatki brawura i fantazja kawalerska, bijąca z oczu płomienistych, z lic skupionych, twardych, w których wyrażnieś czytał:

— Oto wreszcie, wreszcie dorwałem się konia, szablę mam w garści, jadę na Moskale i dobrze jest — lepiej będzie.

Słońce nie przygrzewało jeszcze zbyt. Był ranek. Młodzi, a do tego kawalerzyści, nie lubią jechać długo

cicho, tak się dobrze śpiewa na koniu. Popłynęły jedna po drugiej piosenki. I stara, dawna strzelecka: „Hej strzelcy wraz“ i nowsza, bojowców, o spluwie-browningu. Chwalili się w niej bojowcy:

— „W innych partjach bryndza,
Ogórkowe czasy,
U nas złoto płynie,
Konfiskuję kasy.

Oj da, dana, dana, spluwo ukochana,
Nie masz to jak bronek, nie!“

A chór przyświadczał, powtarzając ostatni dwuwiersz. I jeszcze niedawno przez jednego z jadących, Wieniawę, ułożoną na starą francuską nutę, pieśń strzelców paryskiego oddziału:

— „Chodź bracie między strzelce,
Gdy chcesz wesołym być,
Kompanja godna wielce.
Umierać z nią i żyć.

A w strzeleckim gronie, służba to nie żart. O nie!

— Dandysem był w Krakowie,
Serca podbijał w mig,
Poleżał w mokrym rowie
I cały sztyk gdzieś znikł.

Bo w strzeleckim gronie... i t. d.

— Człek mądry był jak rabin,
Na szczyt się wiedzy piał,
Do ręki wziął karabin,
A mądrość djabeł wziął.

Bo w strzeleckim gronie... i t. d.“

I szły zwrotki za zwrotkami, piosenka za piosenką, co chwila ktoś coś nowego przypominał.

Mijaliśmy tymczasem pola złocące się w coraz bardziej przygrzewającym słońcu, przejechaliśmy las i wsi kilka, napoiiliśmy konie w potoczku, aż ruszył komendant szybciej i klusem wyciągniętym dojechaliśmy do jakiegoś większego miasta.

— Kielce! Kielce! — szept pobiegł od jeźdźca do jeźdźca, a już kopyta po bruku tętniły.

Miasto jakby przycichło w oczekiwaniu. Ulice były głuche, okna pozamykane, gdzie niegdzie przesunął się tylko jakiś ciekawski. Oddział naszych w galopie zajechał przed gubernatorski pałac. Prężyły się przed nim postacie woźnych w białych rosyjskich mundurach, salutując służbiści. Skoczył Belina z konia i wszedł po schodach, zsiadli z koni i weszli do gmachu obywatele Kasprzycki, Litwinowicz i Boerner, jadący również z nami. Po chwili wjechał przed pałac powóz, wiozący przedstawiciela rady miejskiej. Belina tymczasem wyszedł, wsiadł znowu na konia i ruszył przez miasto. Objechawszy je i rozstawiwszy strażę, wrócił znów na plac Katedralny. Po mieście zaś już poszła wieść:

— Nasi! Nasi! — i przejeżdżających witał tłum rozgorączkowany, uradowany.

Postawiony na placu, przed dworcem, zostałem wnet otoczony przez zaciekawionych kielczan. Niedługo to, jednak trwało. Załopotały, zastukały nagle strzały bliskie, gdzieś od północnej strony. Zaraz też nadjechał wyciągniętym kłusem cały oddziałek z Beliną na czele. W myśl starych zasad ruszył na strzały. Mijamy domki przedmiejskie, ogrodami otoczone, pola już widać zasiane i strzały gruchoczą tuż, tuż.

Zsiadamy z koni, z za parkanu drewnianego wysuwa Belina tyraljerów. Jeden po drugim wybiegają na pole i po chwili sunie linja pod górę. Widać chaty wiejskie i domy o jakieś 800 kroków. Pod niemi nieprzyjacielski oddział, bokiem ku naszemu zwrócony, za przeciwnika głównego mający austriacki patrol kawaleryjski.

Wziął Belina manlichera od Hanki, mierzył chwilę — strzelił. Po nim inni. Zamieszanie wśród nieprzyjaciół, świsnęło kilka kul, posłanych ku nam, ale na dwa fronty walczyć nieprzyjemnie, nikną więc Moskale wśród zabudowań.

— Do koni! — Gwarno się staje, sypią się uwagi o dopiero co odbytej potyczce.

Rusza kawalerja dalej. Po chwili znowu z koni i Janusz Głuchowski prowadzi patrol pieszy, w rów przydrożny się kryjąc, Rosjan jednak niema; Wieniawa natomiast nawiązuje styczność z austriacką kawalerją. Jedzieciny po chwili spokojnie przez wieś, potem znowu polem, okrążając Kielce, widne zdala.

— Byli, panie, kozunie, 7 ich było, co ino odjechali — mówią chłopci w następnej wsi.

— Którędy?

— Przez pola na folwark, tam widać.

Ostrożnie kryjąc konie, poza płotkami przejeżdżamy na wskazane miejsce. Widać. O jakie pół kilometra mniej więcej, folwark zabudowany porządnie, brama otwarta szeroko, a w niej stoi jeździec — kozak. Chwilę dumał młody komendant. W milczeniu czekała gromadka.

— Na koń chłopcy! En carriere! — I błysnąwszy szablą, ruszył. — Szczęk szabel i runęli przez opłotki, przez rów, na pole i hajda, aż konie brzuchami dotykają ziemi. Nie dotrzyмали jednak kozacy.

— Tędy uciekli, tędy — objaśniają chłopci.

Jazda więc za nimi. Teren do pościgu trudny, falisty, pagórki, doliny, zboże wysokie. Za to ludzie w polu pracujący pomagają. Ot biegnie chłopak, wóz swój z końmi zostawiwszy przy stercie.

— Panie, panie — tam pojechali, tą drożyną — i pokazuje palcem. Po chwili ktoś drugi kierunek pogoni wskazuje. Aż się znalazła po drodze wyniosłość znaczniejsza...

Kozacki oddział opodał dopada lasku. Z koni więc i ognia. Niewielka z tego jednak pociecha, jak zwykle z prędkiego strzelania. Kozacy bezpieczni już w lesie.

Dosyć mamy na teraz — Belina konia zwrócił w stronę gościńca. Zabrzmiały po chwili pieśni, konie szły stępa,

poparskując, czuły zbliżający się spoczynek. Po raz drugi jechaliśmy dzisiaj ku Kielcom.

**
*

Jeszcze jedna mała przygoda. Posłał Belina Janusza wraz ze mną na spatrolowanie wsi obok gościńca leżącej. Już w połowie drogi zauważyliśmy jakieś postacie kolorowe u wjazdu. („Chyba baby“ — przemknęło mi przez myśl). Kilka strażów, w naszą stronę skierowanych, uświadomiło nas o położeniu. Wieś była zajęta przez Rosjan. Zawróciwszy więc konie galopem, wróciliśmy na gościniec i w samym już mieście dopędziliśmy towarzyszy.

**
*

Dalszego przebiegu dnia nigdy już zapewne nie potrafię odtworzyć dokładnie. Tak szybko po sobie następowały wypadki i tyle było nowych silnych wrażeń.

Mieliśmy jeść obiad w hotelu „Bristol“. Ustawialiśmy jeszcze konie w stajni wraz ze Smoleńskim i Kuleszą, gdy powstał alarm. Porwawszy broń, wyprowadziliśmy konie ze stajni, siodlając je na podwórzu hotelowem, gdy wbiegł Belina wołając, że będziemy się bić na piechotę, bez koni.

Wybiegliśmy z karabinami z sieni hotelu i wpadliśmy wprost na rosyjski samochód. Przemknęła w nim twarz blondyna z niewielkimi wąsami, zasłaniającego się ręką przed naszymi strzałami. Strzelający obok mnie Hanka-Kulesza wykrzykiwał coś, minęliśmy jakiś róg ulicy i zaraz Belina podzielił nas na kilka patroli. Razem z Sepińskim znalazłem się pod komendą Kolca-Smoleńskiego.

**
*

Jakieś ulice, ogrody zielone — i stukot strażów bliskich, za drewnianym parkanem. Już z nami idzie młody człowiek w granatowym ubraniu. Rozmawia coś z Kolecem — ten mu daje swój duży browning (cywil miał małego velodoga) — Kolec dalej nas prowadzi z krótkim manlicherem w ręce. Jakieś strzały znowu słychać w ogro-

dzie; wyłamujemy drewnianą bramę i jesteśmy na ulicy. Któryś z kolegów podnosi paczkę i pas z nabojami o śpiczastych pociskach. Dowód, że nieprzyjacieli był tu przed chwilą z karabinem maszynowym. Wpadamy do jakiegoś domu narożnego, w sieni gromadka kobiet i dzieci klęcząc modli się jękliwie i zawodząco. Wchodzimy ze Smoleńskim na pierwsze czy drugie piętro, z balkonu i okien oglądamy sąsiednie ulice. Nic nie widać, biegiem więc nadół i ruszamy dalej. Dochodzimy do krańców miasta, objaśnia nas ktoś, że kręci się tu obok kawalerja rosyjska. Rzeczywiście kilku jeźdźców widać daleko w polu. Przykłęknawszy więc za jakimś płotem, posyłamy za nimi kilka kul. Smoleński zapowiada, że zostajemy na placówce i posyła cywila (Świerszcz-Pytlewski to był) z pisemnym meldunkiem do Beliny.

**

Późnym wieczorem ściągamy do pałacu biskupiego. Zaberamy po drodze konie z hotelu. Belina się ciska, że przepadł gdzieś Wieniawa. Jedzie nas kilku go szukać. Razem z Hanką i jeszcze z kimś — na dworzec. Późna już noc, więc zostaję tu z kolegami z kadrowej kompanji.

Kilka godzin w tę ciepłą, sierpniową noc przechodziłmy z Żarskim-Radońskim, milcząc prawie ciągle. Po lewej stronie przeddworcowego zajazdu stał siwy koń ze zwieszoną głową, krwawiąc z kilku ran. Był to koń od drożki, postrzelony w południowej utarczce.

Doczekaliśmy tak poranku. Przy jasnym dniu ruszyliśmy szukać swego oddziału. Za kilka godzin już wszyscy, bo i Wieniawa tymczasem się znalazł, staliśmy w lasku jakimś na wzgórzu, patrząc na piechotę naszą, cofającą się z Kielc, i pociski artylerji rosyjskiej, wybuchające wokół Czarnówka.

**

PIERWSZA KADROWA.

Ruszyła I kompania z Krakowa kieleckim gościńcem i zajęła Miechów, pierwsza weszła do Jędrzejowa, pierwsza dotarła do Kielec...

Dzięki żołnierzowi rzeczywiście wyborowemu, dzięki warunkom przyjaznym otoczył pierwszą kadrową od samego powstania nimb wyższości, a tytuł „kadrowiec“ stał się synonimem wzorowego żołnierza, typowego piłsudczyka. Tę kompanję przecież organizował sam komendant Piłsudski, sam jej stopnie wyznaczał. Szeregowcami w niej byli przeważnie uczniowie oficerskich szkół letnich z 1914 roku, Strzelca i Drużyn, i oni nadawali ton kompanji. Świecili więc w szeregach gęsto podoficerowie i szeregowcy, mający prawo do czerwonego oficerskiego sznurka. Szeregowcami przecież właśnie lub podoficerami byli w kadrowej: Wieniawa - Długoszowski, Kruk - Biały-Grzybowski, Pomarański, Młot-Parczyński, Hauke-Nowak, Nowopolski-Polniaszek, Kalina-Zieleniewski, Huk-Kowalski i wielu innych.

Kadrowe zwały się również druga i trzecia kompanja, zorganizowane w Miechowie dnia 8 sierpnia z oddziałów, które tam przyprowadził zastępca komendanta Drużyn Strzeleckich — Norwid Neugebauer.

Pierwsza kadrowa jednak zawsze była pierwsza i jako taka jedynie słyszała w brygadzie i w Legjonach.

Dowódcą jej został przez komendanta wyznaczony obywatel Zbigniew (Tadeusz Kasprzycki). Jako komendanci plutonów zostali wylosowani z grona oficerów: Kazimierz Herwin-Piątek (1 plut.), Henryk Krok-Paszkowski (2 plut.), Stanisław Burhardt - Bukacki (3 plut.), i Jan Kruk - Krużewski (4 plut.).

Drugą kompanję objął również oficer Strzelca Stanisław Zosik-Tessaro. Plutonami dowodzili: Stański-Biegański, Biliński-Ostrowski, Sawa-Sawicki, Tatar-Trześniowski.

Pierwsza składała się po połowie ze strzelców i drużyniaków, w drugiej przeważali strzelcy, w trzeciej natomiast drużyniaczy. Dowodził nią też drużyniak Wacław Scewola-Wieczorkiewicz, a plutony prowadzili: Orwid-Kossakowski, Rawicz-Mysłowski, Żarski-Radoński, Wyżeł-Ścieżyński.

Nie przenosiły te trzy kompanje liczbą 450 karabinów, i one to weszły 12 sierpnia 1914 do Kielc, stoczyły pierwsze potyczki w Kielcach i okolicy, a następnie połączone w jeden bataljon pod komendą Edwarda Rydza - Śmigłego, utworzyły słynny bataljon III, jako 3-ci, w pierwszym pułku.

A pierwsza kadrowa, jak pierwsza wyszła z Krakowa, jak przed innemi idąc, drogę torowała, tak i pierwsza w ogień poszła, pierwsza daninę krwi złożyła. W Miechowie powołał komendant Piłsudski Kasprzyckiego do sztabu, a dowódcą kompanji został Herwin, który w rok prawie później, jako kapitan i dowódca bataljonu, padł w bitwie pod Konarami, — w kompanji kadrowej zaś pluton po nim objął obywatel Słoń.

Dowodził Herwin kadrową w walkach kieleckich, potem w pierwszych utarczkach nad Wisłą, pod Korczynem, Uciskowem, i w tym czasie objął świeżo przybyły VI bataljon, kompanję zaś po nim otrzymał Krok-Paszkowski. Herwin jednak piętno swe na niej wycisnął. Był to żołnierz twardy, prostolinijny i bardzo typowy. Z jego nazwiskiem

zrosła się właściwa kadrowa, bo pod nim prawdziwie była kadrową.

Pierwszym rannym kompanji był kapral Brzózka-Pomarański, którego szrapnel ranił jeszcze w potyczce kieleckiej. Następnie pod Uciskowem 19 września 1914 padli zabici: Dolek, Lazarini, Ciecierzyński. Ranieni wtenczas zostali: Graf, Malinowski, Bratkowski i Czarny.

Zabierano też ludzi z kompanji na oficerów i podoficerów do innych oddziałów, część poszła na organizację do Królestwa w jesieni 1914, szeregi zaczęli wypełniać ludzie nowi, z uzupełnieniami przybyli.

27.IX.1914 objął dowództwo kompanji Krok-Paszkowski. Plutonami dowodzili wtedy: Bukacki, Kruk - Grzybowski (zginął pod Lwowem w r. 1919), Bronisław Mansperl-Haber, Kruk-Kruszewski. Dzielać losy III bataljonu, a z nim 1 pułku, kompanja brała udział w licznych potyczkach i utarczkach tegoż pułku, pod Laskami, Chyżówkami, Stopnicą, Marcinkowicami i t. d. Zwrócić należy uwagę na wywiad na Garbatkę, pod Laskami, dnia 22 października 1914, prowadzony przez Śmigłego, i napad na Chyżówki, gdzie III bataljon wspólnie z kompanjami V bataljonu wziął do niewoli szwadron ułanów rosyjskich. Bitwa pod Łowczówkiem kładzie właściwie kres kadrówce. Niema już w tej kompanji ani jednego kadrowego oficera. W ciągu natarcia padają kolejno wszyscy oficerowie, kompanja dostaje się sierżantowi linjowemu Kalinie-Zieleniewskiemu. Ten ją prowadził w tej bitwie, a po bitwie gwiazdki oficerskie otrzymał. Padło jednak wielu starych, a przede wszystkim trzech, wielkie nadzieje rokujący podoficerowie: sierżant Sęk-Dobrowolski i kaprale Luboń-Kamiński i Kazik Strzelecki, ludzie ze szkołami oficerskimi. Coraz szczuplejsza stawała się garstka kadrowców w kompanji, ale jeszcze byli, jeszcze oni nadawali ton. W roku 1915 dowodził kompanją porucznik Mieczysławski-Brodowski. Przeszedł spokojny czas Wilamowic i Nidy, przyszła konarska bitwa. I znowu podobne natarcie w lesie kozin-

kowskim dnia 20.V.1915 r., jak swego czasu pod Łowczówkiem, kosztowało kompanję około 40 ludzi zabitych i rannych, a między zabitymi znaleźli się i por. Brodowski i sierżant Wiesław-Stachlewski, także z tych „najlepszych”. Nowe uzupełnienia pokryły szczyby w szeregach, ale zatarty też resztkę cech kadrowej. Dowództwo kompanji po Brodowskim otrzymał por. Rawicz-Mysłowski.

Trzyma się jednak jeszcze kilku podoficerów (Fabiszewski, Ratajko-Szeligowski, Wład, Sujkowski, Szulc-Wielgat, Nałęcz-Zalewski, Sarnowski, Średnicki i inni), a nade wszystko oficerowie, którzy stopnie oficerskie z szeregowców w tej samej kompanji otrzymali. Byli to podporucznicy Lelum-Marusieński i Haber-Mansperl.

Ubywają starzy po jednym, po dwóch, pod Jastkowem (Sarnowski), pod Trojanówką (Rola), pod Czerskiem (Głowiński). W jednej z najmniej znanych ogółowi, a jednej z najkrwawszych bitw, pod Sobieszycami (2 października 1915) poległ w szarży 17 pułku ułanów rosyjskich podporucznik Lelum z półtora plutonem. Z 80 ludzi pozostało 6 niecałych, ale żywych. Opuścili wtedy kompanję Lelum, Glinicki, Wład i Bolko-Sujkowski, wszystko najstarsi żołnierze I brygady. Z kadrowców pozostali tylko podpor. Haber i sierżant Burchacki-Orzechowski. Pod Kukłami (25 października 1915) padł Haber, trafiony w głowę.

Skończyła się kadrowa. Przeżyła ją piosenka ułożona przez Ostera-Ostrowskiego (zginął jako wachmistrz 1 p. uł. w r. 1915) — „Raduje się serce, raduje się dusza”.

Wielkie aspiracje i nadzieje żywiła kadrówka, wszak kończyła swą śpiewkę:

„A gdy się szczęśliwie zakończy powstanie,

To pierwsza kadrowa gwardyją zostanie”.

Hej — bo i radowały się naprawdę serca i dusze, gdy szła kadrowa kieleckim gościńcem, a słońce sierpniowe złocistemi błyski całowało jej bagnety...

W SZTABIE ŚMIGŁEGO.

W grudniowy poranek 1914 roku meldowałem się jako konny podoficer ordynansowy dowódcy 1 p. p. I brygady — Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu. Wtedy bowiem właśnie komendant Piłsudski podzielił I brygadę na 2 pułki. Pierwszy pułk, składający się z dawnych bataljonów pierwszego i trzeciego, otrzymał Śmigły, drugi pułk z dawnych bataljonów drugiego i czwartego — Berbecki. Poza tym podziałem pozostały jeszcze bataljon piąty i szósty.

Śmigły od sierpnia już cieszył się wielką sławą w brygadzie. Przyniósł ją z poprzednich lat pracy, ze Związku Walki Czynnej, z kursów i szkół przedwojennych, w których szybko się wybił i za jednego z najzdolniejszych oficerów Strzelca uchodził. W brygadzie wraz z szefem Sosnkowskim był najbliższym pomocnikiem Komendanta. W pierwszych dniach sierpnia, w Miechowie objął dowództwo III bataljonu, składającego się z 3 kadrowych kompanij, i na ten bataljon właśnie spadła sława pierwszych potyczek, bitwy w Kielcach — 12 sierpnia 1914, smutny zaszczyt poniesienia pierwszych strat, zabitych i rannych. Dowodził tym bataljonem Śmigły w ciężkiej bitwie pod Anielinem obok Lasek, prowadząc kompanie osobiście do boju i zyskując miłość i podziw żołnierzy.

Dzisiaj, dzisiaj — można już o tem pisać. Obywatel Śmigły uchodził za „szczęśliwego“ dowódcę. Miał szczęście sam i udzielał go innym. W pułku wierzono, że przy Śmi-

głym nie zostaje się ani ranionym, ani zabitym (chyba w wyjątkowym wypadku!). Śmigły przecież wyprawiał osobiście 3 kompanji I bataljonu na słynny patrol za Nidę w nocy z 2 na 3 maja 1915. Szalenie ryzykowna i zuchwała wyprawa skończyła się wzięciem okopów rosyjskich i jeńców kilkudziesięciu — oficerów i szeregowców, a straty nasze wyniosły — dwóch rannych! Rozjaśniały się też twarze żołnierzy i dziwna otucha wstępowała w szeregi, gdy się ukazywała zawsze elegancka, typowo wojskowa sylwetka dowódcy pułku. Zawsze dziwnie spokojny, uśmiechający się w największym ogniu, panował Śmigły stale nad położeniem. Jak to działało na podkomendnych, sam na sobie nieraz doświadczyłem. Wybitnie ostro rysuje mi się w pamięci jedna chwila.

W bitwie pod Kozinkiem 20 lub 21 maja 1915 roznosząc rozkazy, wpadłem na skrzydło, a było to w lesie, w próżnię między kompanjami i wyrwałem się już prawie z rąk otaczających nas Rosjan. W ciągu kilku minut dobiegłem do Śmigłego, który się cofał z jedną z kompanij, w rozgwarze i hałasie bitwy. Przystanąwszy przyjął mój meldunek ze zwykłym uśmiechem i wtedy jasno, jak nigdy, zrozumiałem i wewnętrznie odczułem żelazną wolę Śmigłego, panującą nad całym otoczeniem, nad nami i nad Rosjanami. Mimo olbrzymiej przewagi nieprzyjaciela, mimo krwawych strat, trzeci bataljon cofał się spokojnie. W ciągu najbliższej półgodziny zajął nowe pozycje i przeszedł z kolei do przeciwnatarcia. A był już trzeci dzień w bitwie.

W związku z bitwą pod Kozinkiem wspomnieć się musi ustęp z rozkazu komendanta Piłsudskiego z r. 1915: „Major Śmigły-Rydz złożył w bojach o lasek kozinkowski nowe dowody niezwykłego męstwa i spokoju przy największym niebezpieczeństwie. Majorowi przedewszystkiem przypisuję, że trzeci bataljon nie ugiął się przy spełnianiu zadania, przewyższającego znacznie siły moralne przeciętnego żołnierza“.

Przez następne pół roku tylko myślą towarzyszyć mogłem pułkownikowi. Leżałem w szpitalu. Śmigły wzrastał w sławę, dowodząc grupą legjonową lub tylko swoim pułkiem, w walkach na wołyńskich błotach i lasach.

Szczęście mu zawsze sprzyjało. Obdarzony wspaniałym zdrowiem, wysportowany i zahartowany, mimo trudów wojennych, nie chorował nigdy. I ranny też nigdy nie był, po staremu z uśmiechem chodząc w tyraljerce i przenosząc swe „szczęście“ na otoczenie. „Przy Śmigłym niema rannych ni zabitych“ powtarzali tajemniczo żołnierze 1 pułku.

Utworzony w grudniu 1914 r. sztab 1 pułku pozostawał nadal w prawie niezmienionym składzie. Adjutantów niezmordowany Kazimierz-Dąbrowa Młodzianowski, funkcje różne przy sztabie pełnili sierżanci: Karol Piórecki, Józef Borecki i Wiktor Misky. Oprócz nich i inni bywali przy sztabie: w zimie w 1914 roku służył w sztabie jakiś czas znany aktor krakowski Bończa, w 1915 i 1916 stale już do najbliższego otoczenia pułkownika należeli: Wojciech Jastrzębowski i Bonawentura Lenart. Z oficerów był oficer broni Kalina Zieleniewski i lekarz dr. Jakowicki. Sztab 1 pułku należał do gościnnych zawsze. Stale również przy Śmigłym bawili oficerowie, przydzielani przez Komendę Brygady w różnych sprawach na dłuższy lub krótszy czas. Pamiętam z nich por. Kordjana-Zamorskiego, por. Biłyka, poza tem bardzo często bywali „goście“, to Kaden-Bandrowski, to malarz Gottlieb.

Lekarzem pułkowym przez krótki czas w r. 1915 był też Sławoj-Składkowski, a nie można zapomnieć przecież o kapelanie, ks. Henryku Ciepichale. „Dwór Śmigłego“ najtypowszem życiem żył w lecie 1916 roku na pozycji pod Optową. Własnymi rękami z pułkownikiem na czele budowali sztabowcy dworek z werandą. Obok poumieszczano stajnie i t. d. Całe osiedle, ślicznie położone na stoku wzgórza, nazwał ob. Śmigły „Anielinem“. Koło Anielina wrzała właśnie walka w sierpniu 1916 r., gdy pozycje pod Optową, Kościuchnowką i Polską Górą zdobywały falangi

Rosjan. Spłonął wtedy dworek — komenda 1 p. p. I jeszcze dzisiaj dawni starzy podoficerowie naszego pułku opowiadają, jak to Śmigły z Dąbrową za strażami tylnymi i patrolami pułku cofali się w lesie optowskim, w walce wręcz z rosyjską piechotą.

Dworek w Anielinie jednak był siedzibą nie tylko sztuki wojkowej, zagnieździły się w nim i sztuki piękne. Bo i sam dowódca pułku, i Dąbrowa-Młodzianowski, i Jastrzębowski hołdowali sztuce malarskiej.

Ale nie samo malarstwo panowało tutaj. Istnieje przecież fotografia werandy dworku w Anielinie, na której właśnie pracuje... redakcja „Konferencji Pokojowej“. Stoi tam z arkuszem w ręku dr. Stanisław Szarski przy szpirografie, czy jak się tam ta maszyna nazywała, klęczą Emil Czerniawski i inni, a z boku, z poważną miną, przypatruje się temu wszystkiemu ob. Wojciech Świda, kucharz sztabowy.

„Konferencja Pokojowa“, trzeba wiedzieć, była pismem 1. pułku, które ilustrowali obficie Śmigły, Dąbrowa, Burhardt-Bukacki, i Wilk-Wyrwiński, a układali je i poetyzowali w nim Szarski, Marski-Marjański, Bożywój-Rybka i inni...

Przyszła jesień 1916 roku. Z odjazdem komendanta Piłsudskiego ciężar odpowiedzialności za I brygadę, za jej ducha i ideę spadł na Śmigłego. Oddalał się też On coraz bardziej od szeregów, wstępując na drogę, która Go miała wysoko zaprowadzić. Jeszcze jednak dowodził pułkiem w roku 1917, kwaterując w Modlinie. Aż poszli Królewiaczy z pułku do Szczypiorna, a sam pułk do Jaksmaniec pod Przemyślem, a potem na Istrję i front włoski.

Wyniosły, nie uzewnętrzniający się, milczący, a przytem dziwnie koleżeński i serdeczny, miał pułkownik Edward Rydz-Śmigły serca żołnierzy i ich bezgraniczne zaufanie. Gdy komendant Piłsudski więziony był w twierdzy magdeburskiej, na Śmigłego zwróciły się oczy, wszystkich, on był Jego zastępcą i przedstawicielem.

W POCHODZIE.

Wyszedł pułk z kwater wczesnym rankiem, szarzało dopiero. Długą dziś i mozolną drogę mamy przed sobą. Rozwinęły się bataljony szarym węzem, który szybko sunął szerokim gościńcem. Świeżość poranku krasila twarze i mrużące się jeszcze ze snu oczy. Idziemy nie w pierwszej linii, więc bez ubezpieczeń i straży przednich. Kilkadzieścią kroków przed czołem pułku grupa konnych.—Sztab.—Farskąją wierzchowce, poklepywane po karkach. Zdrów, zdrów — odpowiadają jeźdźcy.

Porwał się w którejś z pierwszych kompanij śpiew, pochwyliły nutę następną.

„Jest już wojna z Moskalami,

Nasz Komendant idzie z nami...”

poszło wzdłuż kolumny, aż utknęło gdzieś w połowie. Bo oto, jakiś rozochocony już od rana pluton wyśpiewuje tak typowo żołniersko-koszarową piosenkę, że tylko między żołnierzami można ją przytoczyć.

Zatętniało wzdłuż gościńca. Bokiem, podmarzniętą ścieżką jedzie kłusem wyciągniętym oficer. Kasztan pod nim złoty, rzuca głową, szarpiąc cuglami silnie trzymanymi. Znać po nim, że to rano, wieczorem dużo mniej będzie miał fantazji. Jeździec mimo chłodu kożuszek ma na sznurach przez ramiona zawieszony i twarz radosną: niewiadomo z czego. Może to tylko ranek dnia, zapowia-

dającego się mroźno wprawdzie, ale jasno, odbłaski swe rzuca na twarz młodzieńczą. Zameldować śpieszy zapewne komendantowi, jadącemu na przodzie, że kolumna maszeruje, że tabory dołączyły, że wszystko w porządku.

Idziemy. A tymczasem słońce podnosi się coraz wyżej, coraz bardziej przygrzewa, śpiewy ustają, zmęczenie ogarnia ludzi. Oderwał się od sztabu jeździec, wraca się ku jadącemu naczele bat aljonowemu, melduje dziesięć minut odpoczynku. Skinął bataljonowy ręką, adjutant ku kompanijnym jedzie, — ordynans do następnego bataljonu śpieszy.

— Aaa — z ulgą staje żołnierz, karabin zdjął z ramienia, tornister poprawia.

— Daleko kwatery? — dowcipniś jakiś wracającego ordynansa pyta.

— Za górką — odkrzykuje tenże w przejeździe. — I śmiech pobiegł po plutonie.

Wiedzą to, wiedzą dobrze, że nie za tą górką, ni następną.

— Oddaj konia! — proponuje jeszcze któryś oddalającemu się jeźdźcowi. Tamten jednak już nie słyszy. Po chwili rozkaz pada od czoła. Kolumna się zrywa i szary wąż poczyną sunąć gościńcem, aby po trzech kwadransach, godzinie stanąć znów, oddechu zaczerpnąć, z manierki, jak jest co, łyknąć i marsz naprzód, naprzód.

Aż ruch większy adjutantów i ordynansów wtył i naprzód kolumny jeżdżących zwiastuje, że coś się gotuje. Ten jedzie wtył, aby o kuchnię spytać, tamten naprzód z meldunkiem, że już obiad gotów, ten znowu o miejscu postoju i kwatermistrzach bataljonowych donosi. Wreszcie:

— Stój! — Postój półtorej godziny. Za godzinę kwatermistrze na czoło kolumny.

Kolumna rozłamuje się na dwa długie szeregi. Broń w kozły. Żołnierze siadają na szkarpach fos. Po chwili suną środkiem gościńca kuchnie dymiące, kolebiąc się i bełkocąc. Każdy szuka swej kompanji, zatrzymuje się, długi szereg głodnych z menażkami w rękach staje wężem.

Cierpliwie każdy czeka swej kolei. Komendant plutonu ostatni. Staje rozdawca jadła z długą chochłą, którą zanurza raz po raz w głębiach kotłów. Trzy ich jest. Od rana, po wydaniu śniadania, pracują, dymiąc całą drogę. Gdy obiad zostanie wydany, znów napełni się je kawą na kolację. Rozmaitością strawy nasze kuchnie nie grzeszą. Czarna kawa, herbata, rosół z kawałkami mięsa, ryż lub kasza jakaś, to wszystko. Na okrasę czasem do kawy mleka gdzie gorliwy sierżant dostanie. Zajadają jednak żołnierze z zapalem, chlebem wydobytym z torby przegryzając. Już i koniec obiadu — kotły puste. Godzina minęła, adjutant na koń wsiał i kwatermistrzów zbiera. Jeden konny na bataljon, na kompanję podoficer i z plutonu każdego żołnierz.

Wysła się w takiej misji spryciarzy zaufanych. Bo taki to i chałupę porządną dostanie i mleko wyszpera, jajek kupi, słomy skądś na pościel wytrząśnie i pluton, na kwatere przyszedłszy, niespodzianki miłe zastaje.

Różnie jednak bywa. Czasem kwatermistrze na czas nie zdążą, czasem wieś już tak zniszczona, że i najsprytniejszy ze sprytnych nic z niej wycisnąć nie potrafi.

Zebrał się więc kwatermistrze na przodzie. Komendę najstarszy z oficerów objął, konni naprzód pojechali, piesi szybko za nimi zdążają. W pół godziny po nich kolumna rusza.

Jakoś jednak im dalej tem ciężiej, tem trudniej iść. Coraz pozostają słabsi wtyle, za wozami się oglądając. Nie każdy jednak szczęśliwie miejsce na nich znajdzie.

Niesposób opisać trudu i męki marszu; nie zrozumie ten, kto tego nie przeżył, komu rzemienie tornistra w ramiona się nie wgryzały, karabin nie stawał się najwymyślniejszej tortury narzędziem. Dzień w dzień dwadzieścia, trzydzieści kilometrów zrobić, bez względu na skwar, na deszcz, na drogę złą czy dobrą, żelaznych do tego iśćcie nóg i płuc potrzeba. Nie wytrzymują też żołnierzyki i marsze właśnie najwięcej ofiar w chorych pochłaniają.

Trzymają się jednak nieraz i nad podziw twardo. Sunie kolumna utyłłana w błocie, zmęczona deszczem, utrudzona marszem przeszło już dwumilowym, a tu taki znany, okrzyczany, łyczakowski czy zwierzyniecki obywatel prócz karabina i tornistra harmonję ręczną, instrument kanciasty dźwiga, przez pół Polski obnosi i gra, co tylko dusza zapragnie a ucho pochwyci. I nogi jakoś w takt raźniej idą i usta do gwizdania się składają.

Godzina podwieczorna już. Kolumna na serjo coraz goręcej zaczyna się zajmować sprawą oddalenia kwater. I idzie wieść podawana od plutonu do plutonu, z ust kogoś przejeżdżającego a wiedzącego pochwycona:

— Trzy kilometry jeszcze, może cztery. Wtem jeździec śpieszy od przodu, sztabowi naprzeciw. Melduje: kwatery rozdzielone, sztab we dworze, (na plebanji, czasem u gospodarza jakiegoś bogatego), tyle a tyle chałup, ten oddział tu, inny w wiosce o dwa kilometry wbok, i t. p.

Rusza sztab kłusem, już chały wiejskie widać, doszliśmy.

A na drugi dzień rano zerwą nas wczesnym rankiem i znów pójdziemy drogą przed siebie. Pojedzie przodem grupka jeźdźców, sztab, potem szara wstęga piechoty, na członki kompanjami dzielona, potem tabory. Te tabory, które, rzadki dzień, aby się nie spóźniły, lub w inny jaki najmniej spodziewany sposób kłopotu nie narobiły. Takie nieznośne i tak obgadane, a takie potrzebne. Suną teraz z trząskiem, skrzypem, z hałasem jakimś pomieszany, a wśród wozów dymiące, brzuchate, pełne godności i zadowolienia z siebie kuchnie. Wiedzą one, jak ważną są instytucją, o nie największa troska — oby przejechały (droga błotna, mostki, takie jakby ich nie było), dla nich najlepsze konie, najlepsi woźnice. Opuszczają już wieś ostatnie wozy, pojechał oficer do pilnowania wymarszu, wyznaczony do komendanta meldować, że się tabory do kolumny dołączyły, kolumna maszeruje, wszystko w porządku.

Zaczyna się nowy dzień. Dojdziemy znowu wieczorem do kwater, żeby następnego dnia ruszyć z nich dalej i iść, aż przyjdzie i na nas czas i weźmiemy udział w tem, co stanowi najistotniejszą część wojny, i do czego wszystko, cośmy zrobili, przygotowaniem było jeno.

POD ŁOWCZÓWKIEM.

Byłem wówczas konnym ordynansem przy dowództwie pierwszego pułku piechoty Legjonów. Pułk właśnie z całą pierwszą brygadą rzucono nagle z pod Nowego Sącza w stronę Tarnowa.

W zimnym, ale niezbyt mroźny dzień 22 grudnia 1914 roku maszerowała szara kolumna piechoty drogą wiejską, w stronę ciemniejących opodal lasów, minawszy właśnie folwark jakiś. W tym folwarku (bodaj że Lichwin on się nazywał) — zostały kuchnie i wozy. Stwierdziwszy, gdzie stoją tabory, gdzie kwateruje sierżant Królewicz, sztabowych wozów dowódca, pojechałem szybkim kłusem ku czołu kolumny wzdłuż bataljonów. Mijałem je jeden po drugim, wszystkie sześć, witając po drodze znajomych. Najserdeczniej i najdłużej naturalnie trzeci, gdzie była „moja“ — kompanja kadrowa.

Czoło kolumny weszło tymczasem w las. Już od chwili przeszło po szeregach drgnienie nerwowego podniecenia, rozległ się chrzest poprawianych rynsztunków, jeszcze nikt nic nie widział, nie wiedział a już się czuło bitwę.

— „Podobno zaraz idiemy do natarcia, Austrjacy już się cofnęli“ — przebiegło z ust do ust, i znów cisza była w szeregach i wokół, gdzieś tylko daleko strzelała artylerja. W lesie spotkano pierwsze ślady bitwy. O kilka kroków od drogi leżał kawalerzysta austrjacki, poległy

zapewne przed kilku godzinami. Leżał w płaszczu długim brązowym z pod którego wystawały wysokie porządne buty z ostrogami. Ramieniem zarzuconem zakrywał głowę i twarz. Za chwilę gwizdnęły pierwsze pociski jęklwie, gdzieś z głębi lasu z lewej strony. Pojedynczo, dwa, trzy, potem znów kilka razem. Na boku sanitariusze opatrywali kogoś. Na rzucone w przejeździe pytanie odpowiedzieli, że to zbłąkane pociski, aż dwa dostał w głowę kolega.

— „Ot, szczęście i to tak przed samą bitwą“. Czwórki zaś przechodziły obok, milcząc wciąż, tylko coraz przyspieszając kroku. Nagle zafalowały, targnęły się, widocznie czoło stanęło. Dojechałem właśnie do pierwszej kompanji. Mignęły twarze dowódców, oficerów. Stali pieszo obok drogi: wyniosła postać szefa Sosnkowskiego, z mapą w rękę krępy w krótkim kożusku z czarnym podkreconym wąsem Kuba Bojarski, szczupły o jasnych, przezroczystych oczach Dąb-Biernacki, przystojny, męski Wojszner-Opieliński i inni, których już trudno było ogarnąć wzrokiem, bo w tej chwili rozeszli się szybko i zaraz padły ostre, krótkie komendy. Bataljon kompanjami wykonał „W lewo front“ i zatonął w lesie. Już inne znajome postacie stały przed Sosnkowskim, coraz kolejno się zmieniając. Więc Berbecki, dzwoniący szablą i ostrogami, więc ogromny zgryźliwy Ryłski, dowódca szóstego, szczupły, ruchliwy Wir-Konas, Olszyna i Narbutt, obaj typowi legjoniści o wybitnych ostrych twarzach, zmieniali się jeden po drugim. Zdołałem uścisnąć dłonie kilku kolegom bliższym, porozumieć się uśmiechem z Demiańczukiem-Krogulcem, z którym razem sierżantowaliśmy w 2 kompanji u Zosika, a już oddziały przeszły, już spokój zapanował na drodze i polance, a pozostało tylko kilkunastu ludzi i konie, cicho parszające, chrzęszczące rynsztunkiem. Daleko gdzieś w głębi lasu ciągle stukały pojedyncze strzały.

— „Obywatelu — szef zwrócił się do mnie — sprawdź, gdzie wozy z amunicją, podciągnąć je bliżej“.

— „Rozkaz“ — i trąciwszy klacz ostrogą, ruszyłem drogą, tą samą, którą przed chwilą przeszła I brygada. Nim wyjechałem z lasu, targnął powietrzem warkot strzałów, bulgotanie twarde, zajadłe.

— „Oho, zaczęło się na serjo, amunicja będzie zaraz potrzebna“ — kłusem więc — a już wokół zagwizdały pociski.

Z następnych trzech dni bitwy nigdy nie mogłem sobie zdać sprawy jako z całości. Niektóre wypadki wbiły się w pamięć z ogromną wyrazistością, jasno i dokładnie, natomiast inne zagubiły się gdzieś zupełnie. Przyczyniało się zapewne do tego i to, że stale byłem w ruchu. Jeździłem ciągle od linii do folwarku i tę kilkokilometrową drogę przebywałem i w dzień, i nocą, przejeżdżałem ją kawałkami, stępem powoli na zmęczonym koniu, to znowu wyciągniętym kłusem lub galopem. Sztab mieścił się w chałtynce małej na skłonie wzgórza i krzaki zasłaniały ją od nieprzyjaciela. Wyprowadzałem więc z pomiędzy zabudowań klacz Hankę, i podprowadziwszy ją parę kroków małem wgłębieniem, a następnie wsiadłszy, wiedziałem, że skoczyć należy, poderwawszy konia ostrym galopem pod górę, jakieś dwieście metrów nawskos do brzegu lasu, i gnać pod pociskami rosyjskimi, idącymi ulewą za jeźdźcem. Potem na drodze w lesie można już było zwolnić, poklepać parszczącą towarzyszkę i odetchnąć. Pociski i tu szły gęsto i nawet z kilku stron, ale przynajmniej nie było się pod ogniem „na oko“. Spałem ze dwa razy po kilka godzin, raz w izbie, pełnej dymu, zaduchu, wilgoci i ludzi, drugi raz pod daszkiem jakiejs piwnicy, zawinięty w koc i słomę.

Nocą którąś natknąłem się na wozu. Wieziono rannych. „Kogo wieziecie?“ „Kordjana“ — brzmiała odpowiedź. Chwilkę jechałem obok wozu, patrząc w bladą twarz bezwładnie leżącego por. Kordjana-Manastyrskiego.

A innym razem, prowadząc konia za uzde, spotkałem kpt. Herwina. Szedł powoli, podtrzymując rękę. „No,

Bogu dzięki, niebardzo ranny“ — pomyślałem witając go, a tymczasem Herwin rękę miał przestrzeloną i w piersiach ranę; trzymał się na nogach tylko siłą nadzwyczajnej woli.

Kiedy indziej znów spostrzegłem dwóch legionistów, którzy jedną skrzynkę amunicji nieśli, a dwie za skórzane ucha po leśnych wykrotach ciągnęli, przystając co chwila. Zwrócił jeden z nich spotniałą, zmęczoną twarz i zaczerwienione z niewyspania oczy. „Julek, jak się masz“ — poznałem Kadena-Bandrowskiego. Zdań kilka zamieniliśmy i ostrzeżenie przy pożegnaniu: „A na górze się dobrze pochylicie“.

Późną inną nocą stałem właśnie przed chatą, kombinując, gdzie pociski mniej idą, aby Hanke bezpiecznie umieścić, gdy kilkunastu ludzi weszło w opłotki. Prowadził jeńców kapral Gustaw Świdorski z pierwszego bataljonu. Wszedł z nimi do izby i przeżyli się przed szefem Sosnkowskim oficerowie rosyjscy, sztab któregoś tam pułku piechoty. Otóż nareszcie chrzestujący rzemieniami pułkownik, kapitan, trzech niższych oficerów, carskie sługi wierne, stoją jako więźci do niewoli. Stoją, pochyliwszy głowy, na oczach tych kilkudziesięciu milczących żołnierzy polskich.

Jako symbol idących czasów przed nimi, z orzełkiem polskim na płaskiej maciejówce, z karabinem u nogi kapral Świdorski, świetnie zbudowany młody człowiek, z otwartą, jasną energiczną twarzą. Żadnego zbędnego i śmiesznego entuzjazmu — suchy, dumny meldunek: — „Obywatelu szefie, jeńców przyprowadziłem“.

— „Co robi trzeci bataljon — (czasem pierwszy, szósty, czy któryś tam) zobaczyć, sprawdzić, sytuację przynieść“ — krótkie rozkazy. I idzie się przez leszczynowy lasek, jakieś dwieście, trzysta kroków, albo rowem, przez podmarzniete pole (oj jak nieprzyjemnie pociski świszczą i pacają po czarnych skibach!). Dochodzi się, jakiś punkt opatrunkowy, potem kilka ciał bezwładnie już leżących, a wśród trzaskania ekrazytówek, stuku pocisków o drzewa, spo-

kojny, jasny głos dowódcy kompanji lub plutonu: „Co tam? Co nowego? A u nas? — Ot widzicie przecież, obywatelu“.

Pomieszały się we wspomnieniach chwile, godziny i sceny tej bitwy. I twarze, spotykane wówczas przez chwilę, więcej lub mniej głęboko wbiły się w pamięć. Bukacki, w wiecznym swym monoklu, lekko skrzywiony, Dąb-Biernacki, przejęty bitwą, ostry, zapalczywy, Kostek Dzieduszycki, zmęczony, klnący, zaafierowany noszeniem rozkazów i troską o bezpieczeństwo swych koni, Belina, zdumiony przypadkową raną, przed drzwiami kwatery szefa otrzymaną i Sławoj-Składkowski, nawet w czasie bitwy troszczący się o instytucję najkonieczniejszego użytku. Pomieszało się to wszystko i nigdy już nie potrafię odtworzyć przebiegu tej bitwy. Pamiętam tylko zakończenie. Bodaż, że w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia zmieniono brygadę na linji. Wtenczas właśnie byłem na folwarku z jakimiś rozkazami i ruszyłem w drogę ku lasowi, w tę drogę polną kilkakilometrową, napamięć już znaną. Pole i droga ostrzeliwane były przez artylerję. Nieprzyjaciel widocznie przypuszczał, że jakieś odwody podchodzą i granaty co kilka sekund rwały się po polu, po jednej i drugiej stronie drogi. „Hanka“ szła lekkim kłusem na puszczonech dość wolno wodzach, spokojna, strzygąca tylko uszami. Wierząc w instynkt konia, nie sprzeciwiałem się, gdy zwolniła. Ujechałem tak kilkanaście kroków na koniu, dziwnie nagle podnieconym, idącym nerwowo ze stulonemi uszami. Po czterech granatach, które pękły z jakie sto kroków na prawo od drogi, była chwila spokoju. Siadłem mocniej w siodle, niepewny, gdzie uderzą następne. I w tej chwili rozjęczało się powietrze od nadchodzącego pocisku. „Idzie wprost na mnie, przeniesie, czy nie przeniesie?“ — myśl błyskawiczna. W następnej sekundzie granat trzasnął o jakieś trzydzieści kroków w drogę przede mną... Buchnęły kłęby dymu, zafurczały odłamki i padać poczęły wokół rozrzucone kawałki za-

marzniętej ziemi. Klacz wycięła szczupaka w bok na pole, aby po chwili, prychając, przejść tegim kłusem obok wyrwy pocisku. „No, mam teraz chwilę spokoju, a następna salwa przyjdzie na pewno dalej w bok ode mnie“, można puścić konia równym kłusem.

Nie dojechałem do lasu, gdy zaczęły z niego wychodzić w odstępach kompanje. Zdaleka stukotały strzały. Szybko odnalazwszy szefa Sosnkowskiego, zostałem przywitany przezeń rozkazem: „Skoczcie z powrotem do taborów, niech nam konie podprowadzą“.

A rosyjska artylerja właśnie umilkła, po chwili zaś przeniosła swój ogień na las.

OSTATNIA NOC POR. SARMATA.

(Z bitwy pod Konarami)

Zapał mrok. Po gwałtownej, wiosennej burzy wstawały opary wieczorne. Ziemia oddychała pełną piersią, jak człowiek, który skończył właśnie ciężką pracę i do dobrze zasłużonego gotuje się spoczynku.

Nieszczęsny piąty bataljon, któremu tak ciężkie na dziś przypadło zadanie, zbierał się w Ułanowicach, nie mogąc się doliczyć nietylko szeregowców i podoficerów, ale komendanta drugiej kompanii por. Sarmata brakło, a i samego kapitana Herwina na próżno szukano. Pozycje zaś pod wsią Pokrzywianką bataljon trzeci pierwszego pułku zajął. We wsi przy głównej drodze, w punkcie, gdzie cały dzień sanitariat piątego pracował, zajął teraz stanowisko lekarz pierwszego pułku dr. Jakowicki i do pracy na dzień następny się gotował. Noc już była zupełna, godzina dwunasta może, gdy komendant pułku pierwszego, major wówczas, Edward Rydz-Śmigły, z pozycji wróciwszy, wszedł do kwatery lekarskiej. Towarzyszył mu ordynans tylko. Dr. Jakowicki herbatą poczęstował i milczenie zaległo obszerną izbę, milczenie ludzi czekających i myślących o rzeczach wielkich i ciężkich. Wiedzieli, że bój jutro czeka ich krwawy i zadanie niełatwe. Słabo migocząca świeca kładła czerń po ścianach i na twarze siedzących. — Wtęmił ruch i liczne ciężkie stapania rozległy się w sieni. Podniósł

Śmigły głowę, gdy się drzwi otworzyły i żołnierz w nich stanął.

— Sarmat! — z ust obecnych wybiegło.

— Gdzie Herwin? — zaraz Śmigły spytał. A Sarmat, z którego twarzy znużenie ogromne i walki całodzienniej znój bił i rysy twardo żłobił. — Niosą go — odpowiedział i uprzedził dalsze pytania machnięciem ręki. — Weszli już żołnierze, dźwigając nosze, a na nich bezprzytomnego komendanta piątego bataljonu. Na lekkie ust poruszenie:

— Co? — Jaka rana? — głucho Sarmat odpowiedział:

— W głowę! — I wraz dr. Jakowicki przykląkł przy kapitanie, sanitariusz się zakrzętnął, a Śmigły, porucznika na bok wzięwszy, o walkę pytał. I przeżywał Sarmat bój po raz drugi, opowiadając. Znać na nim było znużenie bezmierne, zmęczenie, ogarniające przemożnie nawet tak jak on silnego człowieka. Opowiadał, a już Jakowicki opatrunek skończył, słowa nie rzekł, ale z twarzy poznaliśmy, co o rannym sądzić.

Kwaterna majora leżała w Ułanowicach, po prawej stronie drogi z Pokrzywianki wiodącej. Godzina druga może była, gdyśmy doszli.

Krótką rozmową z brygadjerem Piłsudskim, który obok stał, i sen, sen tak potrzebny, tak pożądany. Legli oficerowie pokotem w izbie włościańskiej, legł Sarmat, od ściany się ułożywszy, i nie przeczuł nikt z nas, a zapewne i on sam nie wiedział, że wszędzie wprowadzie dlań słońce, ale w kilka godzin potem zgaśnie już na wieki.

Wstał ranek 20 maja 1915 roku i ruszyliśmy na pozycje, na których tyłu z nas na zawsze pozostało. Poprowadził por. Sarmat-Szyszkowski kompanję swoją, ale nie on ją już z pola odprowadził. Nie czekając na noc drugą, legł w polu i ukołysały go zboża szumiące do snu wiecznego.

W TRZECIEJ KOMPANJI.

Zasiedliśmy wreszcie na schodkach kamiennych przed koszarami. A już wieczorne cienie obwieszały świat szarą oponą.

Z pól zielonych, palonych słońcem dzień cały, szły teraz ciepłe podmuchy. Pełno było w powietrzu drzeń i szmerów usypiającej ziemi. Szaro-fioletowe chmury, znaczone różowo po brzegach, zasnuwały zachód.

Siedzieliśmy na schodkach kamiennych gromadką starej wiary, patrząc cicho na ziemię, na niebo, na świat cały. Minęła już pierwsza burza pytań. Drżały jeszcze w powietrzu słowa i zdania.

Słowa powitań... Bo oto powrócił do kompanji znowu jeden z tych, dla których ona domem i wszystkim, który tylko w niej czuje się dobrze, i na miejscu, i u siebie.

Trzeba mu więc opowiedzieć, co się tu działo, co się zmieniło. Że Królewiaci wszyscy są w Zegrzu. I „wujko“ Balbin, i Zieliński „stary“, i Dymidas, — „rekrutów do galopu biorą“.

Trzeba objaśnić, że Kazek — szefem kompanji, a Pod-sada już w żandarmerji. Trzeba go zapytać, co słyhać w Krakowie i na „hinterlandzie“. Na „hinterlandzie“ — bo, choć kompanja stoi przecież też nie na linii, a pod Modlinem w Pomiechówku, jednak kompanja to kompanja, a reszta to „hinterland“.

Opowiadania i pytania, które jeszcze z dziesięć razy będą powtórzone, bo, „zaczniemy jeszcze raz porządnie, od początku...”

Teraz jednak siedzimy cicho, patrząc przed siebie...

Stara wiara... Twarze młode, skupione, zacięte, spalone słońcem. Oczy przyzwyczajone patrzeć na wszystko zimno i spokojnie, oczy stare, doświadczone, w których błysków zdziwienia, zda się, nic już nie potrafi wywołać. Usta zacinające się nawet teraz w myśl postanowień twardych i nie cofanych, usta, z których tyle padło rozkazów, tak często wysyłających wprost po śmierć...

Siedzą tak teraz ci „towarzysze linjowi“, szeregową brać, wierna i nieprzejeżdżana, stanowiąca o duchu i wartości oddziału, lejąca krew szczerze od Kielc i Lasek, po Sitowicze i Rudkę Miryńską, nie dająca się z raz zajętego stanowiska sprowadzić niczem, czyto w boju, czy w pokoju.

Siedzą, poopierawszy się ramionami jeden o drugiego, patrzą...

A w myślach snują się im poplątane zdania i wrażenia, których nikt nigdy nie ma ubrać w słowa.

Ot — zebrało się „towarzystwo“. Siedzi na najniższym stopniu schodów Władek Rożen-Wereda, brodę schował w dłonie, oparte na kolanach, i duma. A ma o czym i nad czym dumać ten sierżant dwudziestodwuletni, którego nie zламаły osobiste klęski i zawody, który się zaciął i wytrzymał w swej twardej, szeregowej, bezinteresownej i pełnej ofiar służbie.

O, bo dla tych ludzi „służba“ ma swoiste, obszerne bardzo znaczenie. Służba to nie warta tylko czy patrol, to nietylko wypełnianie żołnierskich obowiązków.

— „Nie złamię głód nas, ni żaden frasunek,

Ani zhołdują żadne świata hołdy,

Bo na Wolności my poszli werbunek,

Na Polski żołydy“...

Służba więc to życie całe, to postęпки wszystkie, to świecąca stale dewiza: „Zawszem Polski żołnierzem“. I to „żołnierzem“ dopiero na drugim miejscu, żołnierzem — nie zapominającym dla żołnierskich spraw o swej polskości.

O Weredę oparł się ramieniem druh-kolega, też Władysław, porucznik Złom-Langner, dowódca kompanji. On niegdyś (jak dawno to już, i jak było zda się inne, i my i wszystko koło nas) — w trzeciej kompanji bataljonu Żegoty wyszedł w pole jako zafrontowy — i do dziś, od sierpnia 14-go roku, kompanji swej nie opuścił, tylko funkcję zmienił.

Prowadzi ją bowiem z małemi przerwami od Łowczówka i wcześniej. A prowadzi nietylko w boju, nietylko przez układanie rozkazów dziennych, ale prowadzi rzeczywiście we wszystkich przejawach życia, w dniach trudnych i ciężkich, świecąc przykładem mimo lat młodzieńczych — poważny i poważany.

A nad Złomem i Weredą siedzi na balustradzie szef — wysoki, smukły, z twarzą chłopca, a barkami żołnierza, sierżant Kazek.

Doniedawna mało kto znał prawdziwe jego nazwisko.

Ot sierżant Kazek — to Kazek i już. A co tam kryje za temi kilku zgłoskami, że tam ten człowiek coś już miał w życiu, nim „sierżantem Kazkiem“ został, kogo to z nas obchodziło. Krył i wszystko niwelował, równał — pseudo-nim. To tak jakby się wyrzekli wszyscy ci życia swego dawnego, spraw swych osobistych, na nową drogę wstępując i zostawiając wszystko dotychczasowe za sobą.

Wereda, Złom, Kazek, Tur, Skała, Zaremba, Balbin, Edmund, Jurand, za każdym z tych „nazwisk“ kryje się przecież cały człowiek, który ma rodzinę, życie poza-wojskowe także, myśli, dążenia, pragnienia. Każdy z nich zapewne z innej sfery i strony Polski pochodzi. Teraz każdy z nich to pionek, od tych zgłosek kilku życia nowa otwarta karta, na której on sam pisać zaczyna.

A Kazek nazywa się właściwie Kazimierz Marczewski, na 3 letniej służbie wyrósł, spoważniał, zmęźniał i sierżantuje już 2 lata przeszło.

Siedzi jeszcze na tej samej balustradzie Stefan Holinkowski. O nim można bardzo dużo napisać. „Bardzo dużo“, t. zn. opisać całe życie żołnierza i podoficera w 1. pułku Legjonów od początku wojny zaczynając, t. zn. wszystkie bitwy, wszystkie patrole I bataljonu, to znaczy dodać opis jeszcze tych kilku lat życia przed wojną, gdy to Holinkowski w Leoben na technikę chodził. Ale to wszystko da się też i w kilku zdaniach zamknąć. Służył w I bataljonie od sierpnia 1914, zawsze w linji, ma kilka odznaczeń austriackich i krzyż niemiecki, komendantem plutonu jest teraz, na technikę przed wojną chodził w Leoben. Oto i wszystko. Sam on zapewne wiele nie rozmyśla o życiu; woli żyć.

A na drugiej balustradzie oparli się o siebie ppor. Michał Pakosz i sierż. Michał Hejnisz. Obaj od początku wojny w 1 pułku. I jeszcze kilka głów, jeszcze kilka postaci skupionych gromadką szarą na kamiennych schodach. Brodowski, Porębski, Werstak, Latak, Kruk-Turek, Sudacki, Oborski, Anczakowski, Świtkowski... Pocóż wam zresztą więcej nazwisk. Kiedy tutaj są oni właściwie wszyscy jednym i pod jednym znakiem żyją. Dla obcych nazewnątrz jedna jakby pieczętą znaczeni — legionista. Dopiero gdy ich znasz, gdyś z nimi żył czas jakiś, stanie ci się z nich każdy kimś, stanie się jednostką osobną. I wtedy poznasz i ocenisz i Hejnisza cichy, mądry uśmiech, i starych kaprali Werstaka, Lataka, Turka czy Porębskiego, młode, zacięte, typowe, uznanych „pierwszych patrolowców“ twarze i polubisz jasne „buzie“ Oborskiego czy Anczakowskiego, „panienkami“ z powodu gładkości przezwanym.

Siedzą wszyscy oto na kamiennych schodach przed koszarami — gromadka starej wiary, sama linjowa brać kompanji.

I patrzą w pole rozległe, aż hen, gdzie na widnokręgu ciemną plamą bór daleki szarzeje, aż hen, gdzie zaróżowione zorzą zachodu krańce widnokręgu.

Zebrali się tu na czas... niewiadomo jak długi... Co będzie na rok przyszły, niepewne, co będzie za parę miesięcy, też niewiadomo. Ani pomyśli z nich żaden zapewne, że niedaleki już czas, który ich rozniesie po świecie na nowe trudy i nowe boje. Że położą niektórzy z nich głowy na obcych ziemiach, a innym tułać się przyjdzie długo, długo...

Nie myślą teraz o tem. Ot siedzi gromadka szara, wpatrzeni w zachodzące słońce. Za chwilę minie ta chwila wieczorna, miną i odejdą od nich myśli żyjące, i oni sami wstaną inni i nowi.

Ale teraz są jeszcze tu wszyscy razem, w ten cichy letni wieczór... I patrzą w zachodzące słońce, siedząc na kamienich, szerokich schodach przed koszarami.

Pisane w 1917 roku,
w Pomiechówku.

RADA ŻOŁNIERSKA.

Jest moment życia Legionów bardzo ciekawy i znamienny. Dowód samodzielności myśli, dowód umiejętności wzięcia odpowiedzialności na siebie. We wrześniu 1916 r. komendant Piłsudski opuścił I brygadę i wyjechał do Warszawy. Uznał, że Legiony przestały już być formą odpowiednią do walki o niepodległość Polski, nową tworzył już, nowe widział drogi.

W I brygadzie na wieść o wyjeździe Komendanta zawrzało... Mogło dojść do nieobliczalnych w skutkach posunięć. Znaleźli się jednak odrazu ludzie, którzy ujęli umysły w pewne karby i nadali energii, zdenerwowaniu i zniecierpliwieniu zdecydowany kierunek. Utworzono Radę Żołnierską. Sprawnie i szybko opanowała ona prawie wszystkie pułki i oddziały samodzielne Legionów. Poza nią i bez niej nie wolno było nic poczynać, ni postanawiać...

A co najciekawsze, że Rada Żołnierska nie była instytucją narzuconą z góry lub z zewnątrz. Powstała w szeregach, z szeregów wyszła...

Różne niepokojące pogłoski masowo rozeszły się z końcem września 1916 roku, gdy pułk stał na pozycji w lesie „Jastrzębiec“ na Wołyniu. Dnia 28 września wezwał pułkownik Śmigły oficerów do komendy pułku i oświadczył im tam, że brygadę objął pułkownik Januszajtis. Komen-

dant zaś otrzymał dymisję od Komendy Legionów, a Szeff został wezwany do A.O.K. *) i wyjechał z marszrutą bezpowrotną. Kompanję 3. zebrał ppor. Pakosz (zastępujący chorego Złoma) i oświadczył nam to, dodając, że oficerowie będą się podawali kolejno do dymisji w ciągu trzech dni, po trzech dniach poda się Śmigły, a ostatni wyjedzie Satyr. Dla żołnierzy wytyczna: starać się wiać przez szpitale na tyły i „dekować się“.

Wszystko narazie przycichło, jakby ogłuszone. Razem z sierżantem Marczewskim udałem się do komendy brygady, chcąc się dowiedzieć czegoś pewnego. W brygadzie było kilku oficerów, ale nic nie umieli powiedzieć nowego; podali mi kilka szczegółów o Szeffie i objęciu brygady przez Januszajtisa. Był podobno znakomity raport oficerski. Wróciliśmy więc na stanowisko. W kompanji tymczasem szeregowiec Wiktor Wąsowicz zaczął układać podanie o zwolnienie z Legionów. U niego więc w namiocie urządziliśmy małe zebranie, w czwórkę, które później przeniosło się do obszernego namiotu sąsiedniego, gdzie już wzięli udział w dyskusji, kto tylko mógł się zmieścić w namiocie, a nawet stano za namiotem, mimo późnej pory (10 godzina w nocy) i deszczu.

Po gorących dysputach uchwalono:

1) Wobec niemożliwości porozumienia się z Komendantem — działamy sami.

2) Staramy się działalnością naszą objąć jak najszersze koła.

3) Jako pierwszy wyraz tej działalności przedstawiamy memoriał do pułkownika (jeden od Galicjan, drugi od Królewaków) od naszej kompanji, a ewentualnie od bataljonu, w którym żądamy zwolnienia z Legionów w przeciągu 48 godzin.

4) Akcję rozpoczyna się natychmiast.

*) Armee-Ober-Komando.

W myśl więc tego uchwalono rano zrobić zebranie bataljonu i wysłać delegatów do stojącego na linii III bataljonu, do 4 pułku, stojącego w Sylwestrówce, do artylerji i szukać sposobów porozumienia się z oddziałami, stojącymi dalej. Tymczasem Władek Rożen zaraz przepisał ułożone memorjały i w kilku (Wąsowicz, sierżant Hejnisz, Marczewski, Rożen i Horoszkiewicz) udaliśmy się do kompanji 1 do sierżanta Nebelskiego i do kompanji 2 do sierż. Kazimierza Garstki. Nebelski i Heller (z 1 kompanji) zgodzili się zaraz i obiecali ruszyć swoją kompanję. U Garstki było znowu gadanie, bo mieszkało ich więcej razem (Garstka, Tyssowski i inni) i oni też wkońcu zgodzili się z nami.

Warto przytoczyć choć jeden z memorjałów, naprzykład memorjał od Królewaków.

„Do Komendy 1 p. p. L. P.

My, żołnierze, podkomendni I baonu 1. p. p. I brygady L. P. prosimy o przyjęcie do wiadomości, co następuje:

— Zważywszy, że jako obywatele Królestwa Polskiego, Litwy i Rusi, oraz obywatele innych krajów z poza granic monarchji austrjacko-węgierskiej oraz Rzeszy Niemieckiej, przybyliśmy do Legjonów Polskich na wezwanie Józefa Piłsudskiego i sprawy wyzwolenia dawnej Rzeczypospolitej Polskiej z pod jarzma rosyjskiego, od 26 miesięcy walczyliśmy pod jednemi sztandarami obok armij sprzymierzonych i nasz obowiązek żołnierski wykonaliśmy, jak nam honor przykazywał.

Zważywszy dalej, że Józef Piłsudski nie kroczy więcej na naszym czele, a tem samem sprawa nasza upada, chcąc być zgodni z honorem i obowiązkiem Polaka, uważamy za stosowne złożyć na Wasze ręce, Wysoka Komendo niniejsze oświadczenie równocześnie z bronią, którą tylko dla tej sprawy i na rozkaz Józefa Piłsudskiego wzięliśmy i tylko na Jego rozkaz na nowo weźmiemy“.

Następowała data (30 września 1916) i podpisy.

Noc minęła szybko i wczesnym rankiem, 30 września, właśnie odbyło się walne zebranie I bataljonu na polanie poza namiotami.

Przemówił Wiktor Wąsowicz i odczytał tekst memorjału. Innym przemów prawie nie było, oprócz pytań i krótkich uwag (Piórecki i inni). Uchwalono memorjały zaraz podpisywać i o 12-tej w południe zanieść pułkownikowi. Mamy iść w delegacji we czwórkę: Brodowski, Holinkowski, Horoszkiewicz i Szajewski.

Oficerowie całej historii przypatrywali się zdaleka a nawet niektórzy „polewali zimną wodą“... Wychodziliśmy jednak z założenia, że w tym wypadku każdy ma prawo i powinność działania.

Przed południem poszli posłowie do III bataljonu, do 4 pułku piechoty, do 5 pułku piechoty, do kawalerji i artylerji.

Memorjały podpisali prawie wszyscy (176 Galicjan, 118 Królewaków).

Pułkownik przyjął nas łaskawie, ale powiedział, że memorjałów dalej nie może przedłożyć, służą one jako wyraz naszej opinji, prosił o wstrzymanie wszelkiej działalności wybuchowej, o uspokojenie i porozumiewanie się zawsze z nim. Zalecił usuwanie się przez szpitale; oficerowie proszą o dymisję.

Po południu przyjechali delegaci od 1. pułku ułanów, zorganizowanego już, z projektem złożenia broni Prusakom. Oświadczyli, że absolutnie nie zrobią tego bez piechoty.

Byłem też w III bataljonie w okopach z kapralem Ziełińskim i z Marczewskim. Rozmawialiśmy z por. Radońskim, z Pączkiem i Wądołkowskim. III bataljon żąda ściągnięcia go z linji do oznaczonego czasu, inaczej zejdzie sam.

Wieczorem zebrali się delegaci i ludzie dobrej woli i ochoty z naszego bataljonu, z III bataljonu, z VI bataljonu,

z 1. pułku ułanów i z 4 pułku piechoty. Postanowiono utworzyć Radę Żołnierską. Zebranie konstytuujące zwołano na godzinę 12 w południe dnia 1 października.

VI bataljon złożył też na ręce pułkownika Śmigłego memoriał podobny do naszego. Przystąpienie do Rady ma się wyrazić w złożeniu oświadczenia, że nie chce się zostawać dłużej w Legionach.

Na gorączkowych naradach upłynął wieczór, a następnego przedpołudnia rozbiegli się znowu delegaci po sąsiednich oddziałach. Z Bugajem i Bieńkiem byłem u saperów. O 12-tej odbyło się zebranie Rady. Stawili się delegaci trzech bataljonów 1. pułku piechoty (I, VI i III), 1. baterji, II dywizjonu artylerji, saperów, 1. pułku ułanów. Obradom przewodniczył Szajewski. Po dłuższej dyskusji uchwalono wreszcie wniosek, którego przyjęcie wykluczało inne postawione wnioski.

Wniosek przyjęty brzmiał:

— Za wytyczne naszego postępowania wybieramy jednocześnie złożenie prośb w drodze służbowej oddzielnie przez każdą z poszczególnych jednostek w sprawie wystąpienia z Legionów.

Przyjęto też następujące obowiązujące wskazówki.

- 1) Uzasadnienie jednakowe wniosków.
- 2) Czekanie do 7 października.
- 3) Niewycofywanie się przez szpitale.

Solidarne działanie wszystkich rozumie się samo przez się. Postanowione wezwać inne brygady do przyłączenia się do Rady. Jako podstawę techniczną Rady przyjęto delegatów z poszczególnych jednostek, po jednym na bataljon, z wyjątkiem pierwszego bataljonu 1. pułku piechoty, który ma trzech delegatów. Prezydjum Rady stanowią: Szajewski, Bródowski, Horoszkiewicz i Douglas.

Wieczorem zgłosili się do nas delegaci I dywizjonu artylerji i 5 pułku piechoty, którzy nie zdążyli przyjść na posiedzenie południowe.

Przyszły też wieści o opowiedzeniu się za nami 6 pułku piechoty i części 2. pułku piechoty, i o nastrojach nieprzychylnych 3 pułku piechoty. Z 2 pułku ułanów 2 i 3 szwadron są za nami. Do Komendy Legionów zaczęły wpływać podania już i z II brygady.

Inne wiadomości jednak były mniej pocieszające. Podobno z 6 pułku piechoty zbiegły jakieś wedety... Za naszymi odwodami w lasach stały pułki austriackie, sami Węgrzy... Na pewno nie w przyjacielskich zamiarach...

W tych dniach więcej siedziałem w Piasecznej niż przy kompanji. Ppor. Pakosz znakomicie ułatwiał wszystko, pozwalał rozsyłać ludzi i robić wogóle wszystko, co uznamy za stosowne.

Zaczęli już wyjeżdżać oficerowie... Wyjechał Bukacki, wyjechali Marski, Gaładyk, Korzeniowski... Przyjechali zato Borucki, Kownacki, Żymierski, mają przyjechać Wicz i Wieniawa, wyjechał Roja, wyjechał też podobno i Belina...

W ziemiankach, świeżo wybudowanych przez saperów dla odwodów, odbywały się codziennie zebrania Rady. Szczególnie burzliwe było zebranie 5 października, na którym niektórzy delegaci żądali zbrojnego wystąpienia przeciwko Austrii.

Być delegatem niezawsze było tylko zaszczytem. W niektórych pułkach bowiem ostro zwalczano Radę.

Warto przytoczyć choć część nazwisk delegatów. Byli nimi:

1 p. p. I bataljon: Jan Szajewski, Stanisław Brodowski.

III bataljon: A. Miszewski.

VI bataljon: F. Zagłoba-Kamiński.

2 p. p. I bataljon: plut. Kowalik, Weroński.

III bataljon: Dziek.

3 p. p. III bataljon: Ryszczuk, sierż. Bobowski, Korga.

4 p. p. I bataljon: Orlik, sierż. Trela.

5 p. p. I bataljon: Hempel.

II bataljon: Włodek-Wierzbicki.

V bataljon: Leukos-Kowalski.
6 p. p. I bataljon: Marciniak Leon.
1 p. uł.: Graba, Orłędzki.
Artylerja: 4 bat. Goldfinger.
Bat. haub. Douglas.

Saperzy: Wnorowski, J. Sadzik.

Delegaci niezawsze byli na stałe. Z 1 pułku piechoty brali udział w zebraniach także Wąsowicz, Marczewski, Sochański i inni. Z 5 pułku piechoty Malski, z artylerji Abram, z ułanów wachm. Świącki.

Pułkownik Januszajtis rozpoczął w tym czasie zwiedzać oddziałów brygady. Gdy przybył do naszego bataljonu, wszyscy pokryli się w namiotach. Grobowe milczenie i pustka towarzyszyły mu na całym naszym odcinku.

Ukazał się rozkaz o utworzeniu się Polskiego Korpusu Posiłkowego (P.K.P.). Wywołał on różne kpiny, z drwinami zaczęto się nawzajem tytułować — „obywatelu pomocniku“...

Na zebraniach Rady zaczęto omawiać sprawę styczeńską z P.O.W. Nastąpiło znaczne uspokojenie umysłów tak, że po 6 października już i zebrania Rady zaczęły się odbywać rzadziej. W drugiej połowie zresztą tego miesiąca nastąpił wyjazd Legionów do Baranowicz.

Prace Rady Żołnierskiej w Baranowiczach nabrały nowej barwy. Zamierzono wydawać pismo p. t. „Głos Żołnierski“. Zajmowali się niem głównie Władysław Malski i prof. Michał Römer. Nie wydano go jednak drukiem, tylko artykuły przygotowane do niego krążyły po pułkach w odpisach.

Silniejszą samodzielną działalność rozwinęła Rada znowu dopiero w 1917 r., gdy pułki stały w Pomiechówku, Moślinie, Dęblinie, Pułtusk. Powstał wtedy plan zbrojnego wystąpienia przeciwko Niemcom. Opracowano już zamach wojskowy w Warszawie. Do poważniejszych rozruchów jednak nie doszło. W 1 pułku piechoty tylko płk. Śmigły powstrzymał swoją powagą Radę od zbrojnego wystąpienia.

Długo jeszcze Rada Żołnierska miała mir w szeregach legionowych, podtrzymywała ducha i kierowała opinią i wystąpieniami. Ostatnie bodaj zebrania odbyły się w Klanec na Istrii i w austriackich pułkach na włoskim froncie w r. 1918.

W JAKSMANICACH.

Dnia 29 sierpnia 1917 roku przybył do Przemyśla 1. pułk piechoty Legionów. A następnych dni zjechały i inne pułki piechoty, artylerji, kawalerji.

Ujrzeliśmy się więc znowu na ziemi galicyjskiej, po przeszło dwóch latach nieobecności. Bo opuściliśmy kraj ten w lutym 1915 r., udając się z Wilamowic, koło Kęt, nad Nidę.

Nie przypuszczał nikt z nas, że taki będzie powrót. Przerzedzone i uszczuplone nasze szeregi, brak też na ich czele komendanta pułku, pułkownika E. Rydza-Śmigłego.

I sprawiła to nie bitwa, ani klęska żadna. Poszli nasi towarzysze Królewiaczy do obozu jeńców, żołnierze pułku, który się szczycił tem, że w bojach trzechletnich nie wziął mu wróg jeńców ogólnie więcej nad 50 i to tylko kilku nierannych.

Gdy minęło pierwsze gorączkowe zajęcie się kwaterowaniem, zasepiły się znowu czoła żołnierzy.

Ciężkie przyszły myśli...

Ciężkie bo czasy nastały...

Konsekwencja to jednak drogi naszej dotychczasowej, następstwo życia i czynów.

Każdy z nas świadomy, że dni idą ważne, bo przecież my, to pułk pierwszy, rozumujący pułk, pułk „inteligentny“.

Zasepione więc czoła żołnierzy i napięte ich nerwy...

Jesienne słońce złoci pola i okolice wsi obszernej, ludnej, w której umieszczono nas zdala od miasta. Do Przemyśla mamy 10 km.

A obok zaraz stoi bratni pułk piąty, dawny drugi, byłej pierwszej brygady.

Prawda, trzeba się dobrze orjentować w stosunkach legionowych, żeby zrozumieć te określenia i to np., dlaczego pierwszy pułk tak, a trzeci, dajmy na to tak, co to ta „dawna I brygada“, czemu to w 1 i 5 pułku odznak nie noszą, ani orderów, i t. p.

Ale kto chce dzisiejsze nasze stanowisko zrozumieć, musi umieć odpowiedzieć na te pytania i wiedzieć też wiele, wiele rzeczy jeszcze.

Zebrali się Legjony w okolicach Przemyśla. Dwa bataljony 1. pułku, pierwszy i trzeci stoją w Jaksmanicach, gdzie też umieściło się dowództwo pułku, spoczywające teraz w rękach kpt. Sasa-Kulczyckiego. A jeden — II — w Popowicach. W pobliskich siedliskach kwateruje pułk piąty. A stoją tu jeszcze w okolicy pułki nasze, czwarty i szósty, pierwszy ułanów i artylerja.

Tak więc Legjony wzgardziły zaszczytami, wzgardziły wygodnem, które je czekało za powolność życzeniom — i przyszły do Galicji, odważnie patrząc w przyszłość.

Mówią, że służymy dla korzyści, dla ambicyj osobistych. Niechże ten, kto tak mówi czy pisze, przyjdzie zobaczyć, jakie to wygody ma żołnierz nasz, jakie zyski, jakie korzyści.

Nie znajdzie tu na pewno ani kołnierzy złotych, ani orderów, ani butów całych i mundurów niełatanych.

Może to i drobnostki, na które nie czas dzisiaj zważać, a o których się wspomina, bo do tego obrazu życia legionowego należą, bo nawet w życiu tem wybitną grają rolę.

Jednem z najczęstszych pytań, jakie sobie żołnierz nasz zadaje, to pytanie, jak to lub owo społeczeństwo polskie przyjmie, jak i czy zareaguje na ten lub ów czyn. Dzisiaj żołnierz ten pozbawiony jest możliwości odpowiedzenia sobie

na te pytania z powodu chwilowego braku poczty. Znamy jednak swoich o tyle, że niewiele się chyba omylimy w domysłach.

Stoimy więc pod Przemyślem, czekając, co przyszłość przyniesie, umiając już czekać. Wojna bowiem, między innymi, uczy i cnoty cierpliwości, i wytrwania i uczy też, że są zwycięstwa, które klęską się stać mogą w skutkach—dla zwycięzców.

A nas z drogi wytkniętej nie sprowadzi już nic.

Pisane we wrześniu 1917.

LISTY ZDALEKA.

I.

„W jasnym południowym słońcu piszę... Usiłuję wywołać w sobie wrażenie, że jestem na urlopie, na wycieczce letniej, w czasie której powinno się zapominać o wszelkich codziennych troskach, nie pamiętać ni szarości dni powszedniego życia, ni złych chwil czy złych ludzi.

A jednak ciągle na myśl przychodzi, w jakim tu jesteśmy charakterze i poco.

Patrzę więc na jasne ściany domów, owinięte pnąciami się gałązkami winogrodu, na białe brukowane ulice, na rysujące się woddali kontury zielonych gór, i jakoś wydaje mi się to wszystko trochę nieprawdopodobnem, trochę — takim z bajki zdarzeniem.

Z okna przeciwległego domu z pierwszego piętra płynie piosenka sopranowa...

Cicho zresztą, ciepło, jasno...

Po długiej, męczącej jeździe (jechaliśmy pięć dni i pięć nocy, wyjechawszy z Bakończyc koło Przemyśla 18 września 1917) przyjechaliśmy 24-go przed południem na miejsce. Jeszcze tylko kilka kilometrów pieszo i oto Klanec, wioska biała, kamienna, skupiona w dolinie rozległej wśród gór nad białą wstęgą gościńca. Tu nasze kwatery na czas jakiś...

A w drodze cała linja kolejowa wiedziała, że — jedziemy! Wiara bowiem śpiewała zacięcie cały czas, i zadziwiała animuszem i ruchliwością dworce, na których zwykle staliśmy długo. Nikt z nas bowiem nie myślał zbytnio krępować się wobec „austryjców“.

Z początku jechaliśmy „na pewno“ do Lublany, w drodze jednak coś się zmieniło i stanęliśmy pewnego poranku wobec zgoła dla nas obcych krajobrazów i ukształtowań terenu. Zaraz po przybyciu na stację wyładowania Herpelje rozeszła się po szeregach wieść, że: „z tamtej oto góry widać morze“ — i w czasie odpoczynku całe pielgrzymki szły oglądać srebrną, jarzącą się w zachodzącem słońcu taflę, która na widnokręgu podnosiła się ku górze.

Morze...

Stały szare gromady polskich żołnierzy, patrząc w skupieniu na to morze, takie nam zawsze dalekie, a teraz takie bliskie.

Tuśmy więc zaszli...

Siedzę na werandzie gospody, patrząc na mury wsi, kąpiącej się w promieniach słońca, przepojonej jasnością. Biel i zieleń — barwy tu górujące. Zieleń to tylko jakaś dziwna, sucha i szara, daleko jej do soczystej, wilgotnej zieleni polskiej.

Śpiewaczka przeciwka przestała już nucić i, wychyliwszy się z okna, ogląda teraz z zaciekawieniem obce mundry, czapki jakiegoś dziwne, tego „nowego wojska“. A to wojsko też z pewną niezwykłą mu nieśmiałością zapoznaje się z siedzibą nową i warunkami teraźniejszego życia.

Pozostajemy narazie jeszcze w związku pułkowym. Rozłożeni w dwu miejscowościach: Klanec (I i III bataljon 1. pułku piechoty) i Presznica (V i VI bataljon) pod wodzą kapitanów: Wira-Konasa, Kulczyckiego, Lisa-Kuli i por. Parczyńskiego; czekamy na dalsze co do nas rozporządzenia.

Z mieszkańcami szybko następuje porozumienie. Ze Słowenkami łatwiej to przychodzi przy powolnem mówieniu

i pewnej uwadze. Gorzej z włoską ludnością. Ale tu wchodzą na arenę samouczki i słowniki. Zwykłym więc obrazkiem „obywatel“ z książeczką w ręku, starający się coś wytłumaczyć, pomagając sobie gestami, zakłopotanej „Włoszce“, która często po bliższym zbadaniu okazuje się — Słowenką. (On wyraża swój zachwyt nad jej oczami, ona objaśnia, że winogron mu sprzedać nie może — jeszcze nie dojrzały). Lud tu zresztą ubogi, jedynym pożywieniem „polenta“ — ale i przed wojną podobno nie było lepiej.

Wieczorami zaś zbierają się nasi, gromadząc się na moście lub na placu przed gospodą „Hotel Klanec“ i płyną pieśni. Jakże zresztą może być inaczej, przecież wszystko tu stare „legjony“. Śpiewa więc rozłożony nad głównym gościńcem pierwszy bataljon: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród“... a odpowiada mu z za parowu, wieś dzielącego, chór „trzeciego“: — „Hej strzelcy wraz...“ i jakoś niefrasobliwie dni nam zaczynają płynąć. Każdy przekonany, że zrobił, co mu sumienie polskie nakazywało, a reszta wszystko niczem wobec tego.

II.

Otrząsnęliśmy się już z wrażeń podróży, oswoili z nowością miejsca pobytu. Już zapędzają się łaziki nasze na szczyty gór okolicznych, już zwiedzili zamek stary i kościółek, o kilka kilometrów stąd oddalony, zajrzeli do jakiejś świętej groty, już wiedzą, gdzie jakie wino w okolicznych gospodach i gdzie jaka „Włoszka“ ładniejsza. Zaczynamy więc już tu na dobre osiadać. Minęły pierwsze chwile zdumień nad językiem miejscowym, nad figami, które można jeść na zielono, już regularne godziny pobudek i wieczornych „retraite“ ujęły w ramy życie codzienne. Mamy już swoje godziny posiedzeń w jednej z trzech gospód miejscowych, mamy godziny czekania w kolejce na jedyny numer polskiej gazety („Kurjerek Krakowski“) w Soldaten-Heimie. Zaczynamy się stawać burżu-

jami, mówiącymi tylko o wojnie, nadsluchującymi jej odgłosów i dysputującymi nad tem, „co będzie“...

A tymczasem...

Tymczasem, ciągle w sercach, w myślach, czai się, „żyje to niewypowiedzialne i niemożliwe do określenia „coś“. To „coś“, żrące serce żołnierza polskiego zawsze... Zawsze... czy w legjonach włoskich, czy w brygadach, ginących na San Domingo, czy w Hiszpanji, czy w Karpatach i w poleskich bagnach... A teraz my, pierwszy pułk — tu...

I nie umie żołnierz powiedzieć, co mu jest, nie wie, jak stan duszy swej określić, czuje tylko, że choć niby wszystko jest w porządku, coś jednak nie jest tak, jak być powinno. Kto winien, mniejsza, zawsze ci jednak źle będzie i tęskno, żołnierzu polski... bo teraz jeszcze nie możesz być czysto i tylko żołnierzem polskim właśnie... I wybierać musisz między dwoma obowiązkami.

Są daty nie do zapomnienia. Jedną z takich będzie dla nas tu obecnych żołnierzy 1 pułku piechoty Legjonów — data dzisiejsza — 1 października 1917.

Jeszcze jeden krok zrobiliśmy ku końcowi... może przedostatni: pierwszy pułk się kończy — jeszcze tylko jesteśmy razem.

Wieczór teraz już późny, siedzę na kwaterze i usiłuję uporządkować wrażenia dni ostatnich, wrażenia dnia dzisiejszego.

Od rana bowiem chodzimy w austriackich mundurach. Oficerowie tylko zachowali legjonowe. Et — machnąć już chyba przyjdzie ręką na wszystko.

— „Habt — acht“ — nam komenderują...

— „Rechts — um“...

Idziesz jednak ulicą i zaraz poznasz, który z tych żołnierzy, co cię mijają, „były legjonista“. Jakąś taką bestja ma minę — mimo wszystko. I śpiewa tak jak dawniej. I wieczorami płyną zawsze znane tony pieśni. Jeszcześmy bowiem razem.

Jasny był dzisiaj, ciepły dzień. Taki miły, cichy dzień jesienny. Pamiętać go będziemy... Bo dzisiaj przebrali nas w austriackie mundury.

Cóż mam Wam więcej napisać?

Ano — chyba już nic. — Kończy się bowiem pułk pierwszy, a smutno jest patrzeć na czyjś koniec. Poco więc o smutnych rzeczach pisać.

Zresztą — nie my pierwsi...

Historja się przecież powtarza... Tylko — że to właśnie nasz pułk — pułk pierwszy. Trzy lata się tłukł po całej Polsce i teraz tutaj, tak...

Siedzi obok mnie kolega i opowiada, jak to on białe rękawiczki z Kielc jeszcze od 14-go roku nosi na wejście do Warszawy. A pierwszy pułk nie wszedł do Warszawy — i już nigdy nie wejdzie. Adaś Popowicz zaś białe rękawiczki na Istrję przyniósł i wyciągnął właśnie z plecaka i drze je powoli na coraz drobniejsze kawałki w silnych, żołnierskich palcach.

Wieczór już późny, siedzimy na kwaterze i dumamy nad dniem, co przeszedł. Dniem, w którym ubraliśmy się w austriackie mundury. Przechodzimy w nową jakby formę istnienia...

FOTOGRAFJE

Fotografie — nie aparatem fotograficznym zrobione. Fotografie chwil przeżytych i utrwalonych tylko w pamięci.

Chwil z życia komendanta Pileńskiego, zapamiętanych przez niego, jak przez kogoś innego, kilka lat temu.

II. NA TLE WSPOMNIENÍ...

Niektóre z nich utrwalił jedynie aparat na płycie, dziś sięgając notatki objaśnieniami będą do tamtych — tam w pamięci tylko żyją i w słowie żywym opowieści żołnierskiej.

Na jasnym, białym, koczowniczym korytarzu stanęła w dwurzędzie drużyna. Rząd dwójek mundurow i czapek, znaczonych plamami żółtych skór parów i zamierzających ciemnymi na czapkach owalonych znaczkami „Drużyn Strzeleckich”. Przed prawym szeregiem oficerów wyprostowanych kolumn: Warski-Herbut, Boćko-Karwacki, Gruzicki, Szary-Górski, Pogon, kilka twarzy, które w pamięci są więcej białe. A przed nazwiskami tych przesyła polowa już słowa „świętej pamięci” napisać dziś warto.

— Lecz wówczas, w czerwcu 1914 roku, stał tu pierwszy zastęp w wypróbowanej wojskowej postawie na korytarzu lokali Drużyn w Krakowie, na komendanta czekał...

Cisza. Odpłos kroków po drewnianej podłodze, krótkie jak światła, z przodu wydobywającej się komendy.

Jasny był dzień, ciepły dzień. Taki miły, cichy dzień jesienny. Pamiętasz go, biedny? — Bo dzisiaj przebrali nas w austriackie mundury.

Czy mam Wam więcej napisać?

And — chyba już nie. — Kończy się bowiem pułk pierwszy, a smutno jest patrzeć na czysty koniak. Poco więc o smutnych rzeczach pisać.

Zresztą — nie my pierwszy.

Historja się przecież powtarza... Tylko — że to właśnie nasz pułk — pułk pierwszy. Trzy lata się tłukł po całej Polsce i teraz tutaj, tak...

Siedzi obok mnie kolega i opowiada, jak to on białe rękawiczki z Kiele jechał od 14-go roku nosił na wejście do Warszawy. A pierwszy pułk nie wszedł do Warszawy — i już nigdy nie wejdzie. Aha! Popowicz zaś białe rękawiczki na Istrję przyniósł i wyciągnął właśnie z plecaka i drze je powoli. II. NA TLE WSPOMNIENI

Wczoraj już zajął się zmyśleniem na kwatery i dumamy nad tem, co przeseść. Dniem, w którym ubraliśmy się w austriackie mundury. Przechodzimy w nową jakby formę istnienia.

FOTOGRAFJE.

Fotografie — nie aparatem fotograficznym robione. Fotografie chwil przeżytych i utrwalonych tylko w pamięci.

Chwil z życia komendanta Piłsudskiego, zapisanych przez Jego żołnierza. Fotografie momentów kilku, kilku chwil, rozrzuconych na przestrzeni lat trzech 1914—1917.

Niektóre z nich utrwalił jedynie aparat na płycie, dzisiejsze więc notatki objaśnieniami będą do tamtych. Inne w pamięci tylko żyją i w słowie żywym opowieści żołnierskiej.

Na jasnym, białym, koszarowym korytarzu stała w dwurzędzie drużyna. Rząd siwych mundurów i czapek, znaczonych plamami żółtych skór pasów i znaczkami ciemnymi na czapkach, owalnemi znaczkami „Drużyn Strzeleckich“. Przed prawem skrzydłem oficerów wyprostowanych kilku: Warski-Herbut, Bończa-Karwacki, Grudziński, Szary-Górski, Pogoń, kilka twarzy, które w pamięć się więcej wbiły. A przed nazwisk tych przeszło połową już słowa „świętej pamięci“ napisać dziś trzeba.

Lecz wówczas, w czerwcu 1914 roku, stali oni wszyscy zastygli w wyprężonej wojskowej postawie na korytarzu lokalu Drużyn w Krakowie, na Komendanta czekając.

Cisza... Odgłos kroków po drewnianej podłodze, krótkie jak świst szabli, z pochwy wydobywanej, słowo komendy.

I zaraz po tem następne: „W prawo patrz!” Wszystkie głowy zwrócone jak jedna w prawo, Piłsudski odbiera raport. Za chwilę idzie powoli wzdłuż szeregu, pochylony nieco, szpicrutę nieodstępna w ręku obracając, wiodąc za sobą oczy podkomendnych, których już za dni parę w bój miał powieść.

Piłsudski w Kielcach. Mieszka ze sztabem w pałacu biskupim. I oto pewnego pięknego dnia sierpniowego zbiera się grupa cała oficerów sztabu przed pałacem z Komendantem i z szefem Sosnkowskim na czele. Fotografja. I pozostaje już na zawsze na pamiątkę tej chwili karta papieru szarego, a na niej na tle kolumn ganku pałacu postaci kilkanaście zgrupowanych. Wszyscy w maciejówkach, w polowych mundurach, z bronią u boku. Stoi we środku komendant Piłsudski, brodę jeszcze wtenczas nosił, charakterystycznie pochylony nieco. Przy nim wyniosła postać Szefa. A obok nich i za nimi — sztab. Nazwiska wschodzić dopiero poczynające. Więc ten oto oficer z ciemną twarzą, w ułańską kurtkę opięty, to Belina-Prażmowski. Więc pierwszy oficer sztabu: Zbigniew-Kasprzycki i drugi Wicz-Stachiewicz. Obok politycznych władz przedstawiciele: Sokolnicki, Sławek. I literat, kronikarz dni tych pierwszych Gustaw Daniłowski. Jeszcze intendent Litwinowicz i dalej: Trojanowski, Sfinks-Grzybowski, Fuksiewicz, Sulistrowski, Boerner, Horoszkiewicz, Sawicki-szofer.

Stoją tak oni, oczy mrużąc pod słońce, i tak już na tej fotografii pozostaną...

Jest w Radomskiem taka sobie zwykła wioska polska, Jakubowice—Bagniste się nazywa. Staliśmy w niej we wrześniu czy październiku pierwszego roku wojny. W szkole zaś, ubogiej wiejskiej szkole, stał sztab i mieszkał komendant Piłsudski. Jakoś zaciągnęły chmury widnokrąg i beznadziejny, jesienny deszcz świat cały szarą mgłą nam przysłonił. Nie wiem, dlaczego i poco zatrzymano nas w owych Jakubowicach i staliśmy tam tydzień chyba, może i więcej. Nudy więc były pierwszej klasy. W drugi coś wieczór gra-

mofon ktoś wyciągnął gdzieś z szafy czy z pieca. Popłynęły tony walca, przy drugim zaś. czy trzecim „kawałku“ nie wytrzymali młodzi i choć dam nie było, w dwie pary puszczone się w tany. Aż kurz szedł z podłogi przy oberku, a Komendant o stół oparty stał, śmiał się i w ręce w takt klaskał...

Przyszeli jeszcze i „wist“ na porządek wieczorny w owe wieczory długie. deszczowe w Jakubowicach. Komendant, szef Sosnkowski, Sieroszewski i Suszkowski, adiutant VI bataljonu, partję stanowili.

I druga jest jeszcze wioska, od Jakubowic zapewne nie większa, Brzechów w Kieleckiem. Tam znowu staliśmy w pierwszych dniach października 1914 roku. Z dni owych scena staje w pamięci tak częsta. W małej izbie włościańskiej chaty niezmordowany pracownik Stachiewicz przy lampce naftowej pisze, a Komendant dużemi krokami po izbie chodzi, w szary sweter tylko ubrany i ręce wtył założywszy, dyktuje. Plany rozwija na daleką przyszłość i rozkazy, i przesunięcia oddziałów na jutro, na dni najbliższe. I tak w późną noc. Wieś cała śpi, żołnierz zmordowany sił nowych nabiera, placówki tylko czuwają i... Komendant.

Migoce światelko lampy naftowej w oknie chaty, w której mieszka Komendant. I patrzy w nie żołnierz czuwający i wie, że czuwają nad Polską całą, jak długa i szeroka, on żołnierz szary na placówce i komendant Piłsudski.

Po długim marszu, po przejściu grobli jakiejś i mostku, który się pod taborami i armatami naszymi łamał, przyszliliśmy pod Krzywopłoty. Koniec to był pierwszego tygodnia listopada 1914 roku. Stanęliśmy biwakiem w lesie sosnowym, wilgotnym i chłodnym. Zapłonęły ogniska, jasnymi plamami znacząc ciemne tło, kłębami dymu owijając drzewa i postacie żołnierskie, i konie, i ziemię zda się całą. Wpół leżąc, umieścił się Komendant przy ognisku, kocem przykryty. Wokół stali towarzysze...

Buzowały ogniska, napełnił się lasek gwarem, polski obóz tysiącem świateł świecił. Komendant, wpatrzony w ognisko, brwi zsunął, myślał... A na drugi dzień rano ruszył z trzema bataljonami i z kawalerją, komunikiem, w swój słynny marsz przez Ulinę, ku Krakowowi.

We dworze pańskim w Grudzynach nad Nidą zasiadło towarzystwo rycerskie przy stole. Imieniny Komendanta. Życzenia mu więc złożyli oficerowie, delegacje przysły z bataljonów i oddziałów, a teraz wszyscy siedzą wieńcem wokół stołu ogromnego, mów słuchając, zebraniem takim licznym, „sprawiedliwej wiary“, serca krzepiąc. Mistrz ceremonji Sulistrowski Zygmunt, kolei jedzenia, picia i gadania pilnuje, wszystko porządnie idzie i sprawnie.

Tak to jakoś ciekawie wyglądało już wówczas... A dzisiaj, jakże się nam przedstawi to zebranie I brygady w dzień imienin swego Komendanta? Tak sobie zasiedli w starym polskim dworze nad Nidą polscy żołnierze, i dzierżąc silnie w rękach ten brzeg polskiej rzeki, jako szaniec, jako cokol ostry, skalny polskości, trwają, w przyszłość rzucając harde hasło: „Polscy żołnierze jesteśmy i... niech żyje nasz Komendant“.

Zasiadła wiara naokoło stołu, imieniny Komendanta obchodzi w Grudzynach dnia 19 marca 1915.

Cudny dzień majowy, słońce złoci łany zbóż, rozkwita wokół ziemia wiosną, prawdziwie polską wiosną, młodą, pachnącą, zieloną. A w polach pod Konarami, w lasku kozinkowskim, koło Pokrzywianka krwawy, zacięty bój toczy pierwsza brygada. Ostрым klinem wżarła się w szeregi rosyjskie, brawurowemi natarciami łamie linię — gęstym trupem najlepszych swych szeregowych i oficerów zaściela pola.

Przez wiosennym podmuchem kołysany łąn, ścieżką zgubioną wśród traw i zbóż, polną drogą, wijącą się kręto, jedzie komendant Piłsudski. Daleko wyjechał przed sztab,

rękę na łęku siodła oparł, stalowem okiem po linii siniego boru wodzi.

Coś myślał, Komendancie, wówczas? Wówczas, gdyś polem konarskiem jechał, dnia 21 maja 1915 roku.

Gdy taka cudna wiosna rozkwitała wokół, gdy pachniały polskie łąny zbożem wzrastającym, i... gdy szalała śmierć po szeregach, gdy się zmagaly dwie odwieczne nieprzyjaźnie, gdy jeszcze raz, niewiadomo już który raz w dziejach, walka wrzała z rosyjskim najeźdźcą.

Przeszły lubelskie walki, minął wołyńskich krwawy czas zmagañ, minęły karasińskie dni odpoczynku, przyszedł nowe pod Optową i Kościuchnowką bitwy. Była tam w pewnem miejscu frontu reduta umocniona szczególnie i obwarowana, reduta, którą krwią oblał pułk piąty. Reduta Piłsudskiego. Stoi przede mną fotografia ciemna, świetnie zrobiona — wódz w płaszczu, narzuconym na ramiona, oparty o parapet, patrzy w dal. To fotografia Komendanta z reduty. Patrzy na niej Józef Piłsudski, wysuniętej polskiej placówki dowódca, patrzy z reduty swej na wrzące linie. Trzeba tę fotografię znać i znać jej powstania historję, żeby zrozumieć, jakim symbolem jest ona, komendanta Piłsudskiego i Jego brygady.

Ciężką kilkudniową walką wyczerpane, cofały się nasze oddziały z pozycyji, z początkiem sierpnia 1916 roku zajmowanych. Ha — trudno i największe męstwo nie przemoże przewagi liczebnej, gdy w dodatku z przewagą tą połączyły się zła wola i niedołęstwo sąsiadów naszych ze skrzydeł. Obeszli nas Rosjanie. Jedyńą jeszcze wolną stroną, przez Perechrestje, wycofywały się pułki legjonowe. W głuchym trzasku pękających pocisków cofały się w ogniu i walce. A na skraju małej polanki leśnej, na zakręcie drogi wąskiej stał komendant Piłsudski i stroskanemi oczyma oglądał poszczególne kompanje, twarze pobladłe i poczerniałe, rany świeże, nie zabandażowane jeszcze nawet. Przechodzące zaś oddziały przeżyły się służbowo i w takt poczynaly iść, choć bez komendy.

Przechodzili tak przed wodzem swoim żołnierze w defiladzie dziwnej. Przechodzili, oczy — tak przed chwilą jeszcze zuchwale w śmierć zaglądające, zwracając na Niego, który rękojmię im dawał, że ofiara ich nie pójdzie na marne.

I salutował Komendant przechodzących — cicho, w milczeniu.

A potem? potem już coraz gorzej być poczynąło. Aż gruchnęła okropna wieść o wyjeździe Komendanta — w październiku 1916 roku i przyszło pierwsze przesilenie w Legionach.

Mało już odtąd stykał się żołnierz I brygady ze swoim Wodzem. Bo Wódz ten kraj cały obejmować począł. Począł pracować na arenie szerokiej.

Zawsze jednak pozostała I brygada — brygadą Piłsudskiego. Zawsze jednak w tornistrze każdego z 1 czy 5 pułku piechoty żołnierza znaleźć możesz fotografię Komendanta. Wędrowały te fotografie po świecie szerokim. Na włoski front, na Istrję, na Węgry i na Ukrainę zanieśli je wierni, wypróbowani, ci „najstarsi“.

A prócz tych fotografii „prawdziwych“, tych kartonów papieru z podobizną Jego, szły z nimi fotografie żywe chwil zetknięcia się żołnierza z Dowódcą, chwil plastycznie wbitych w pamięć, chwil, których kilku opis podałem.

W POWSTAŃCZYCH SZEREGACH...

Gdy kadrowa kompanja ruszała z Krakowa, mowy nie było o Legjonach... Byli strzelcy polscy — strzelcy Piłsudskiego... I wszystkie te nasze oddziały, które się zgromadziły w czasie od 6-go do 12-go czy 14-go sierpnia między Miechowem, Jędrzejowem a Chęcinami, które zajęły 12-go sierpnia Kielce... uważały się za wojsko polskie — nie wiedziały nic o Legjonach... obce im były koncepcje polityczne krakowskie czy warszawskie...

A nawet datę powstania sierpniowego 1914 roku cofnąć należy do dnia 2 sierpnia, w którym patrol konny Beliny wyruszył z Krakowa.

W kilkakrotnie już wspomnianym w innych szkicach moich notatniku z owych dni mogę odczytać zapisane ołówkiem dnia 18 sierpnia następujące zdania: „Austriacy podobno źle są do nas usposobieni, nie wypuszczają więcej strzelców z Galicji. Mało sobie jednak z tego robimy“.

16 sierpnia rozpoczęliśmy drugi marsz na Kielce, okreśną drogą, przez Bolmin, Rykoszyn, Chełmieć, Tumlin... I w nocy — znowu ciekawy zapiszek o Legjonach... z dnia 22 sierpnia... (Byliśmy już wtedy w Kielcach). — „Przyszły gazety, przyjechali kurjerzy z Krakowa, są ciekawe nowiny. W Galicji tworzą się Legjony pod austriacką komendą. My podobno mamy być legją zachodnią?! — Ogólne z tego powodu oburzenie“.

A dnia 11 września 1914 w Grabiach Wielkich: „Idziemy obecnie w stronę Galicji, już jako „legjoniści“. Ciężko będzie Wisłę przechodzić, a jesteśmy coraz bliżej niej“...

I dalej jeszcze dnia 13 września w Stopnicy zapisałem: „Dzisiaj była wielka dyskusja nad naszą przyszłością i o Legjonach, które, jak słyhać, noszą czarno-żółte opaski, o przysiędze, którą składały... U nas też w Kielcach, dnia 5 września, była przysięga. Zrobiliśmy z niej jednak szopkę, mało kto na niej był, a i ci, co poszli, w nos się śmieli austriackiemu generałowi Baczyńskiemu, który ją odbierał ...i przysięgali — Franciszkowi Józefowi — królowi polskiemu“.

Echa tej przysięgi miały nawet swoje skutki prawne aż w 1918 roku na włoskim froncie. W tym to czasie mianowicie zaaresztowano wszystkich legjonistów w c. k. 120 pułku piechoty, stojącym w linii bojowej na Monte Tomba — a było ich dwudziestu kilku — pod zarzutem zdrady i zmywy co do przejścia na stronę nieprzyjaciela. Był to skutek opuszczenia placówek przez grupę około dwudziestu legjonistów, prowadzoną przez ob. Płachtę-Płatowicza i poddanie się ich Włochom. Poszliśmy pod sąd polowy. I tu oświadczył jeden z kolegów przed sądem dywizyjnym, że... nie przysięgał Austrii i nie czuje się do niczego obowiązany wobec wojsk cesarskich, do których przymusowo został wcielony. Inni aresztowani twierdzenie to poparli. Obrońca, przydzielony z urzędu podporucznik, z zawodu koncypjent adwokacki, (nazwiska niestety nie pamiętam, był to młody, inteligentny Żyd z Moraw czy ze Śląska) wykorzystał zręcznie tę okoliczność, udowadniając konieczność osobistej przysięgi i powołując na świadków: Rydza-Śmigłego, Daszyńskiego, Moraczewskiego, Klemensiewicza i innych... Wśród sędziów, zawodowych wojskowych, powstała konsternacja... Z pod sądu doraźnego przeszliśmy pod sąd zwykły i dostał każdy po długim, kilkutygodniowym śledztwie — wyrok na dwa, trzy, cztery —

czy sześć lat więzienia — jak tam już któremu wypadło, do odsiedzenia — po wojnie...

Wróćmy jednak do roku 1914...

Prawdziwy nastrój powstańczy panował na gościńcu kieleckim w czasie pierwszego marszu na Kielce. W Miechowie, Jędrzejowie, Chęcinach rządziły własne komendy placu i komisarjaty rządu narodowego. Jeszcze w Kielcach, później, po 20 sierpnia — ileż wzruszenia budziły papiery, dokumenty, przepustki — z pieczętą „Rząd Narodowy“!

Po opuszczeniu Kielc, po bitwie w dniu 12 sierpnia, stanęliśmy 14 sierpnia na pozycji pod Chęcunami. W słoneczne przedpołudnie tegoż dnia komendant Piłsudski obejrzał okolice z murów prastarego, piastowskiego zamczyska. Potem u stóp zamku odbył przegląd kawalerji. Przyjechali bowiem właśnie z „sokołami“ ze Lwowa Wąsowicz i Śniadowski. Stanęli ułani w dwuszeregu. Nie było ich więcej jak pięćdziesięciu. Na prawem skrzydle stał oddział Beliny. Z ciekawością patrzano nań i z zazdrością. Już byli w ogniu, już kilkakrotnie bili się z Moskalami.

Przesuwają się na tle wspomnień twarze kolegów, z którymi w owych czasach tyle się przedyskutowało, przeżyło... Żarski-Radoński, Marjusz Link, Dobranicki... Z dalszych, dorywczo spotykanych: Cedro-Poźniak, Ludwik Naimski, Roman Starzyński... Złociło nam życie sierpniowe, kieleckie słońce. Przeżyliśmy w Kielcach czasy, jakich od pięćdziesięciu bodaj lat żaden Polak nie przeżywał...

I te to właśnie dni i tygodnie sierpnia i września 1914 roku były skarbnicą moralną tradycyj powstańczych I brygady. Te sześć tygodni nadały jej piętno, żadnemi przysięgami czy czarno-żółtymi opaskami niezafarte, i pozwoliły rzucić w 1917-ym to dumne zdanie: „My, — pierwsza brygada!“

K WATERMISTRZE.

Południe. Postój obiadowy dobiega końca, jeszcze pół godziny. Przed komendantem pułku staje porucznik:

— Melduję... kwatermistrze zebrani.

Następuje objaśnienie o miejscu kwaterunku.

Adjutant pułkowy wsiadł na konia:

— Marsz!

Pojechało przodem pięciu, sześciu, czasem więcej konnych (zależy od ilości bataljonów i innych jednostek kwaterujących). Za konnymi przyśpieszonym krokiem oddział pieszy, zwykle trzydziestu ludzi nie przenoszący. Poszli. Za kwatermistrzami w jakie pół godziny rusza kolumna. Ujść trzeba jeszcze dziesięć, dwanaście, czternaście kilometrów.

Datują się me wspomnienia kwatermistrzowskie jeszcze z sierpnia pierwszego roku wojny. Odkomenderowany wtedy z kompanji kadrowej wraz z sanitariuszem Bystramem-Stryjeńskim i ś. p. Suchodolskim-chorążym pod komendą ob. Norwida, ruszyłem do Krzeszowic, aby tam przygotować kwatery dla oddziału, mającego przybyć w następnym dniu. Jakże inaczej wyglądał kwaterunek następny w zabudowaniach rządowych — po drugiej już stronie granicy! A później tyle, tyle wsi, dworów, lasów, które za mieszkania nam służyły.

Miejscowi patrzyli na nas różnie. Z początku z ciekawością — zwykle i radością, gdy poznali kto. Zmieniły się później stosunki, ale nie wszędzie. Ludność, wyniszczona ciągłymi przechodami wojsk, coraz nowych przyjmowała już wszystkich obojętnie, jeśli nie z niechęcią. Każdy z nas jednak ma przecie w zbiorze swych wspomnień czyto dwór jakiś, czy plebanję lub, co się najczęściej trafiało, chatę chłopską, w której przyjęto go sercem i „czem chata bogata“. Niezawsze i nie wszędzie, ale i nie rzadko.

Dojechali już tymczasem konni kwatermistrze do wsi i zaczęli gospodarzyć. Już któryś z obywateli bystrzejszych — zdołał stwierdzić, że we dworze panien niema (pocieszył go drugi, że w szkole też niema), już tamten, bataljonowy adjutant, plebanję na kwaterę swego komendanta zajął. Już innych dwóch przemówiło się ostro o chałupy jakieś lepsze, aż adjutant pułkowy musiał godzić. Ten ma robotę największą. Objechać bowiem trzeba daną miejscowość, temu bataljonowi ten odcinek wyznaczyć, tamtemu tamten, tu tabor stanie, a tam karabiny maszynowe. A nie można pokrzywdzić żadnego oddziału.

Inny jest rachunek kwater w lecie, a inny w zimie. W czas ciepły stodoły są mieszkaniem wspaniałem, w zimny tylko domy mieszkalne można brać pod uwagę. Zwyczajny rachunek: na kompanję chałup pięć, czasem jednak i dwie, rzadko sześć lub ośm. Dostaje więc pluton chałupę lub chałupy swoje i to już jego terytorjum. Wszelkie korzyści z niego należą do danego oddziału. Więc jeśli jest siano, słoma, krowa, kury, to pluton używa i błogosławi swego kwatermistrza; jeśli nie, to w obcych chałupach grasuje, co jest połączone z zatargami z kwaterującymi w nich i odgrażaniem się.

— Jak nie dostaniemy drugim razem porządnej kwatery, to... A tak trudno dogodzić wszystkim. Ta część wsi bogatsza, chałupy większe, jest nawet kilka domków porządnych, tam znowu grupa zabudowań osobna, na jedną kompanję za duża, ale jakże tu inną rozdzielać.

Pogodził już jednak wszystkich główny kwatermistrz, adjutant pułkowy; już adjutanci bataljonowi warty kwaterunkowe w swoich rejonach poustawiali, jedzie już ordynans naprzeciw kolumny i powraca po jakimś czasie z wieścią: — pułk idzie!

Na całą kwaterunkową pracę czasu jest godzina, dwie najwyżej. Trzeba się więc śpieszyć, bo nie można pozwolić, żeby żołnierze, znużeni całodziennym marszem, czekali. Dobrze to jeszcze na równinach, gdzie wsie zwykle gęsto są zabudowane, dadzą się dogodnie podzielić i liczą zwykle czterdzieści do sześćdziesięciu gospodarstw (jeśli mniej, to bieda). Ale w górach! Słyszysz, że wieś duża, o siedemdziesięciu do stu zagród, cieszysz się, że wygodnie będzie, dojeżdżasz, a tu jedno gospodarstwo o pół km od drugiego, a trzecie na połoninie nad niemi, reszta zaś wsi „tam dalej“. Jedziesz 8 km, co dwieście kroków budynek, jest nawet dwór, są dwie plebanje (wszystko razem nazywa się Ochotnica), ale nigdzie zbiórki urządzić, ani wart ustawić i kończy się na czterech chałupach na kompanję. Cały pułk zaś na przestrzeni trzech kilometrów bezmała.

Przyjemnie jednak być kwatermistrzem. Człowiek wejdzie do wsi, zawsze coś łyknie, nim kompanja przyjdzie, bo na pluton mleka czy jajek w chałupie za mało, ale na jednego, choćby miał apetyt honweda, zwykle wystarczy. I zawsze — nie idzie się w kolumnie, ma się trochę swobody i jest rozmaitość. Lubią też chłopcy na kwatermistrzostwo chodzić i są w każdym prawie plutonie „kwalikowani“ w tym kierunku zawodowcy. Taki spryciarz to sobie dogodzi i swojej sekcji przyjemność, i miłą czasem niespodziankę urządzi. Ten zawinie się i mleko z kilku zagród skupi, biała kawa będzie na śniadanie; tamten słoninę lub kur kilka wyszpera i bal jest.

Żeby jednak kwatermistrze pamiętali, że to wojna, często wysłani na poszukiwania kwater i spoczynku — znajdują nieprzyjaciela i walkę. Na kwaterunek wysłany był, podporucznik wówczas, Młot-Fijałkowski, a słynny bój swój pod

Czarkową stoczył. Jako kwatermistrz wjeżdżał por. Dąbrowa do wsi, a salwę dostał, nieszkodliwą wprawdzie, ale na pewno nie na wiwat daną (uciekli zaraz kozacy, nie czekając na odpowiedź z naszej strony). Kwater też szukać tenże sam porucznik, pułku 1-go piechoty Legjonów adiutant, ku Chyżówkom pojechał i skończyło się na wzięciu do niewoli szwadronu ułanów rosyjskich.

I wiele, wiele wypadków podobnych i trochę innych opisaćby można, ale już oto pułk wszedł do wsi, już się rozłożyły kompanje na leżach i skończona już na dziś kwatermistrzów robota.

L I S T Y.

W cichej nad Nidą położonej wsi, tętniącej teraz gwarem i żołnierskim życiem, w kwaterze komendy 1. pułku piechoty Legjonów, zrobił się ruch. Przyjechała poczta. Przy stole niewielkim zebrali się zaraz sztabowcy. Zainteresowanie ogólne. Komendant Śmigły, adjutant, sierżanci: Piórecki, Misky, Borecki, Lenart przeglądają szybko kartki, listy, dzielą je i układają: tam pierwszy bataljon, tam trzeci, tu karabiny maszynowe, tu sztab, tam prowiantura. Przez ramiona zagląda kucharz sztabowy, obywatel Świada: („Bo coś pewnie będzie od matki“). Każdy się czegoś spodziewa, każdy na coś czeka. Tylko dr. Jakowicki, gazetę wzięwszy, ciekawie je na boku przegląda. Do niego nic nie przyjdzie.

Grupki na stole rosną, na boku liczy się jeszcze i podpisuje przesyłki pieniężne i pakiety. A już bataljonowi sierżanci, którzy widzieli przejeżdżającego przez wieś posłańca z pocztą, przychodzą, każdy po swoje. Ucichło wreszcie. Odeszli, a z nas każdy już czyta to, co dostał. Komendant tylko gniewa się i srogą karą grozi ordynansowi, który na pocztę jeździł, jeśli jutro też nic dla niego nie przywiezie. Przerwał jeszcze ciszę wieczoru obywatel zadyszany i zarumieniony, który przybiegł z kompanji—„sierżant mówił, że pieniądze są dla mnie lub paczka“.

Codziennie poczta odchodzi w południe, przychodzi wieczorem. Walka pozycyjna pozwala na pewną regularność. Niezawsze jednak tak bywa. Gdy pułk pośpiesznym marszem dopędza cofającego się nieprzyjaciela i nie może za nim nadążyć tabor pocztowy, nieraz tygodniami poczty niema.

Pierwszą pamiętam przywieziono do Hubenic w Sandomierskiem jesienią 1914 roku. Nie wspominam już kieleckich urzędzeń. Potem w czasie bitwy pod Krzywopłotami, potem w Lipnicy. Zimą to było—biało, w chłopskiej kwatrowaliśmy chacie. Smutna była ta poczta. Tak niedawno była łowczowiecka bitwa. Przychodzą więc listy do tych, którzy już nigdy czytać ich nie będą.

Przy naftowej małej lampce odczytuję adresy. Nazwiska kolegów i znajomych, parę dni temu tyłu z nich na liście strat umieszczono. Zabity, zabity, ranny... staje mi co chwila w pamięci. W kącie izby dr. Składkowski, ówczesny 1. pułku lekarz, brząka na gitarze, por. Dąbrowa-Młodzianowski na harmonijce ustnej wtóruje. Komendant Śmigły zapisuje coś po drugiej stronie stołu. Ciepło, przytulnie, a mnie nazwiska tych, dla których wczorajsza bitwa ostatnia już była, przypominają tak żywo to, co tak niedawno minęło, a co nas może za dni kilka czeka.

Jest list do komendanta. Podaje. Przeczytał i oddaje mi z uśmiechem smutnym. Przebiegam kartki szybko oczami. Pisz do komendanta pierwszego pułku matka, której syn, gdyśmy z Nowego Sącza miesiąc temu niecały wyrusziali, z nami poszedł, że ona wie, tak trzeba, sam chciał, ale taki to młody jeszcze chłopak, dwudziestu lat niema, wątły, ostatniemi czasy uważała, że kaszlał silnie, teraz mrozy, możeby urlop mógł dostać albo jakąś chociaż służbę lekką. Nazwisko żołnierza przypomniałem sobie odrazu. Przy obiedzie dzisiaj mówiliśmy nawet o nim, bardzo odważnie stawał... i został na pobojowisku. Nie będzie już kaszlał, ani mrozów znosił i lekkiej już mu nie potrzeba służby. Popatrzyłem na komendanta, list składając, on jednak pisał

już znowu pośpiesznie i uważnie, brwi marszcząc. Zaczęłam dalej przedkładać listy i kartki, układając je pilnie w grupki.

Do kozinkowskiego lasu w 1915-ym w któryś dzień długiej konarskiej bitwy przyszedł kapral Kostiuk. „poczmistrz“ III bataljonu. Widziałem go, jak szedł szybko wśród drzew, wspinając się pod górkę, na której leżeliśmy. Przyniósł pakiet listów i kartek, zaraz pod drzewem podzielono je szybko i ordynansi pobiegli do kompanij, okopanych stąd o kroków kilkadziesiąt. Już jednak wczoraj i przedwczoraj tylu ubyło. Jednego pamiętam, młody był, ładny chłopak. Dwie kartki dostał i list kobiecym pismem adresowany.

A leżał o kroków może dwadzieścia, tak jak padł, gdy pierwsza kompanja dnia poprzedniego szła do ataku natarcia.

Są jednak i inne kategorie listów, które nie dochodzą. Jedne adres niedokładny mają, inne adresowane są wprawdzie dobrze, ale adresata już niema albo nigdy nie było w tym pułku.

Niemniej jednak, niż odbierać, lubią nasi chłopcy pisać listy. Gdzie tylko który pióra dopadnie lub ołówka, a papier ma, epistoły zaraz pisze, nierzadko kilkunastostronicowe. Ciekawych się z tych listów czasem rzeczy można dowiedzieć, bo w zapale bajecznie się i czyny, i zdarzenia opisuje. Skromnie w kilku zdaniach wspomina taki bohater o sobie, o swoim męstwie, za które mu się medal należy na pewno — nie zapomina też zwykle dodać, że to jeszcze nic, on do większych daleko rzeczy jest zdolny.

— Piszę ten list wśród straszego ognia karabinów maszynowych i pękających szrapneli i t. p. Zaraz pewnie pójdziemy na bagnety... — pisze obywatel, grzejąc się przy piecu, na którym otwarta puszką z konserwami oczekuje na swój los.

— „Okropnie teraz strzelają do nas, ale nim mnie trafią, muszę do Ciebie napisać, bo mię serce ciągnie“... oświadcza

swej najdroższej taboryta, którego gdzie, jak gdzie, ale tam, gdzie strzelają, na pewno niema.

Albo wiadomość:

— Prawie cały pułk wybili, ale trochę jeszcze zostało przy życiu i ja także... — pisze taki pan z okopów nad Nidą, gdzie nudy przez dwa przeszło miesiące były śmiertelne.

Są jednak i listy młodzieńcze, pełne nieraz tęsknoty do tego, co minęło, ale pełne też wiary w potrzebę tego, co się czyni. I listy tak liczne do tych, które pozostały i które tam gdzieś daleko tęsknią i czekają.

Miesza się wszystko w tym ogromnym wirze walki, sentyment szczerzy z komizmem, żal ze śmiechem, radość z płaczem. Szły w różne strony polskiej ziemi białe i szare kartki i nie było chyba zakątka, gdzieby ich nie czekano z utęsknieniem. A za nami, za pułkami, z każdej prawie miejscowości, gdzieśmy dłużej stali, śpieszyły pozdrowienia i słowa pamięci i słowa tęsknoty.

— Kiedy wrócisz? — Kiedy się zobaczymy?

Główny to motyw i temat. A oprócz licznych na te pytania odpowiedzi, tak często, za często — wogóle jej już nigdy być nie miało...

IMIENINY ŻŁOMA.

Żłomowi na imię jest Władysław, więc trzecia kompanja I bataljonu 1. pułku piechoty od początku czerwca myślała już o tym dniu uroczystym, który przypadał na 27 czerwca 1916 roku.

Trzeba jednak zacząć od początku, bo trzecią kompanję Żłom-Langner prowadził już od roku 1914, a same początki, mroczne tradycje dziejów 3 kompanji sięgały Tarnowa i Krakowa oraz tamtejszych przedwojennych szkół Drużyn Strzeleckich i Strzelca. Zorganizował kompanję Narbut w Krakowie na Dolnych Młynach. W pole wyszła ona pod Szarym-Górskim jako szósta. Dowodził nią później Kuba-Bojarski, od Lasek — Żłom-Langner. Potem czas jakiś Woysznar-Opieliński; wtedy wślawiła się wypadem za Nidę nocą z 2 na 3 maja 1915. I znowu ją na długi czas otrzymał Żłom. Tarnowiacy w kompanji rej wodzili, tarnowskiemi dziećmi byli: sam Żłom-Langner, Kazek-Marczewski, Rożen-Wereda, Edward Lech, i z szeregowców: Antoni Mitan, Wojciech Stańczyk, Radoniewicz i wielu innych.

Wracajmy jednak do imienin...

A więc wiosną 1916 roku kompanja objęła redutę pod Optową, którą „tatuńcio“, Michał Pakosz, umocnił. Ochrzczono ją Pakoszkówką. Gospodarowała na niej 3 kompanja kilka miesięcy, urzędnienia zatem były tam już

całkiem wygodne. Trzy plutony, któremi dowodzili: pierwszym ppor. Pakosz, mający jako zastępcę sierż. Michała Hejnisza, drugim ppor. Marski-Marjański z zastępcą Kazkiem-Marczewskim, trzecim Stefan Holinkowski z zastępcą kpr. Weredą, kolejno pełniły służbę na placówkach, czas wolny spędzając w ziemiankach. Do kompanji należał stale i sierż. Stanisław Skała-Brodowski, który z Pakoszem naprzemiennie pierwszym plutonem dowodził; sierżantem-szefem, czyli t. zw. linjowym był sierż. Woynicz. Tych kilka nazwisk stanowiło czołową obsadę. O duchu kompanji, o jej poziomie decydował przede wszystkim ideowy, na szczytny herwinowski ton nastrojony, a więc pierwszy w służbie pracy i trudzie bojowym a przytem prosty, szczery, skromny i koleżeński-porucznik Władysław Złom-Langner. A sam pień kompanji, samą jej główną siłę stanowili w gwiazdę Komendanta zapatrzeni, w sercu Polskę, w życiu tylko służbę dla Niej znający, starzy towarzysze z organizacyj przedwojennych, starzy koledzy z walk kieleckich, z pod Lasek, z pod Marcinkowic, Łowczówka, z pozycyj nad Nidą, z pod Konar i setki bitew lubelskich, wołyńskich, poleskich... kaprale: A. Porębski, St. Bugaj, Stwosz-Bednarz, Rudolf Biły, J. Latak, B. Werstak. Sudacki, Tur, Lech, Marynowski, Wygoda, Turek, „wujek“ Balbin - Figler, Stefan Dymidas i z poprzednimi obydwojma z Ameryki przybyły, w polskim wojsku żadnego stopnia nie chcący przyjąć, — „dopóki Polski nie będzie“ — szeregowiec Wiktor Dunin-Wąsowicz. Ach, jeszcze i kapral Icek Jungerman, sanitarnego patrolu dowódca, a z nim ogromny, ciężki sanitarjusz Rogalski. Całą kompanję można przypomnieć i opisać... Więc dalej starsi szeregowcy Zdzisek Geneja, Józef Bieniek, Rudomino, Jurand-Błazej. Gawroński i „Panną Kazią“ zwany — Kazik Anczakowski. Osobno a zaszczytnie, z atencją pełną wymienić należy kaprała Emila Czerniawskiego, później sierżanta, szefa kancelarji i rachunkowości kompanijnej... A potem szeregowcy, w dwa szeregi do raportu ustawieni... Jan Bąk,

Karol Wdowikowski, Józef Starzyński, Edward Wiktor, Piotr Czezel, wesoly, zaczepny Józef Sokol, Antoni Klatka, Zygmunt Gierycz, bracia Nowobilscy, Franek Wrona, Ignacy Greczyło i druga „panna“ Józef Mazur, Zośka zwany, Adolf Wierzbicki, drugi Sudacki — brat kaprała, Józef Korzonek, poważny, cichy Józef Grobel, drugi Lech-Stefan, Masłowski głuchawy — ofiara żartów kompanji, Józef Sroczyński, Mach, Mitan, Świtkowski — sto kilkadziesiąt bagnatów kompanja liczyła... Jeszcze można garść dużą nazwisk dorzucić i o nich, i o każdym z już wymienionych również można jeszcze i jeszcze coś napisać. Więc jak to w nogę ranny Wąsowicz wszystkie ciężkie marsze i patrole wytrzymywał, jak prawie ręką niewładający Hejnisz służbę pełnił, jak wesoly Kazek ducha stale podtrzymywał i nie było dla niego służby za ciężkiej nigdy. A ileż możnaby naopowiadać o karcianych przygodach Fugla i Jungermana, o słynnej warcie nocnej Jungermana i Sroczyńskiego, której wspomnienie huragany śmiechu stale budziło, o tem, jak kuchnią dowodził kapral Franek Kruk Turek, jak Bolcio Werstak kozaka tańczył, jak na swój podły, żydowski los skarżył się szeregowiec Dawid Hausler...

Od nowej linji trzeba zacząć... Nowy ustęp... Bo kapralowi Tadeuszowi Niezgodzie-Marynowskiemu, kiedy o trzeciej złomowej kompanji mowa, zdań osobnych parę należy się bezwzględnie. On to przecież i piosenkę osobną miał o sobie ułożoną. Czy wówczas był z niej zadowolony — wątpię, ale dzisiaj... Wówczas a dzisiaj — to światy dwa odrębne prawie całkiem.

Znowu jednak nawróćmy do imienin.

Już więc od kilku dni przed 27 czerwca 1916 roku trwały przygotowania imieninowe. Franek Turek i Emil Czerniawski kombinowali z prowianturą, bo wiadomo — imieniny... To i w menażce powinno być obficie, i manierka nie może być pusta. Sierżant Woynicz stare znajomości w dowództwie pułku wykorzystał, aby orkiestrę dostać, Skała,

Pakosz, Holinkowski — porządek uroczystości ułożyli — słowem, ruch zrobił się odpowiedni. W noc imieniny poprzedzającą Kazek Marczewski na patrol się wybrał z kilku towarzyszami i kwiatów całe pęki z pod pozycyj rosyjskich, gdzie były najpiękniejsze, przynieśli.

Wczesnym rankiem 27 czerwca zebrała się cała kompanja w czworobok, którego ścianę jedną tworzyła ziemianka Złoma, a trzy — plutony. Przed ziemianką również ustawiła się orkiestra. Najwyżsi wzrostem, wszedłszy do ziemianki, wśród okrzyków wynieśli z niej po chwili w koc tylko owiniętego solenizanta, protestującego gwałtownie i przecierającego zaspane oczy. Zagrała muzyka, nastąpiło kilka przemówień, chóralne okrzyki i obnoszenie Złoma przy akompanjamencie orkiestry po całym jego królestwie — Pakoszówce. Co tam sobie Moskale myśleli, słysząc ten koncert poranny, niewiadomo. Zresztą muzyki w ten dzień to się chyba nasłuchali dosyć.

Dzień był wogóle uroczysty. Życzenia nadchodziły osobiste, telefoniczne i pisemne, a Złom przyjmował je zawstydzony lekko, wdzięcznym swoim:

— Do cholery, synku, choroba...

Po południu gwar się wzmógł. Gromadą, siedząc przed ziemianką dowództwa kompanji, opowiadano sobie różności, pito, fotografowano... W ziemiankach zaś dwie sekcje służbowe, którym pić wolno było tylko do południa, spały snem sprawiedliwych.

Takie to były imieniny Złoma na Pakoszówce, odprawione 27 czerwca 1916 roku, kiedy Władek Langner jako porucznik kompanję dowodził w bataljonie Burhardta-Bukackiego pierwszym, w pierwszym pułku Śmigłego.

Jeszcze gdzieś zapewne w świecie, w Polsce, istnieją stare, pożółkłe fotografie amatorskie z tego „święta“. Jeszcze zapewne ktoś ze starej wiary, patrząc na nie czasem, odnajduje drogie twarze towarzyszy i osnuwa je nicią wspomnień. Już i tego niema, i tego, i tamtego. Zginęli Marski i Holinkowski, zginął cichy, twardy służbista

Hejnisz, zginął na dalekiej italskiej ziemi Kazik Anczakowski, padł nad Piawą Jań Bąk w kilka tygodni po imieninach na tej samej Pakoszówce padł Mach z drugiego plutonu, niema już na ziemi, na jasnej i Franka Krukaturka, i Domagałę Prusacy zabili w 1917 roku, zginął też Włodek Rożen-Wereda, tak koleżeński i przyjacielski, a tak szczęścia w życiu nie mający.

A w rok później, r. 1917, drugie imieniny Złoma urządziła kompanja w Pomiechówku pod Modlinem. I znowu, naturalnie, fotografie. Tylko, że to było już w koszarach. Starych nazwisk ubyło, nowych przybyło w kompanji... Podpisali się wszyscy w pięknym albumie, w Warszawie kupionym i specjalnie oprawionym. Nie sama jednak trzecia kompanja... Są i podpisy gości. Podpisał się więc, życzenia składając, Jędrzej Moraczewski, który wówczas w sztabie brygady w Modlinie służył, podpisali się koledzy z bratniego III bataljonu: Zosik-Tessaro i Zygmunt Wenda, koledzy z innych kompanij z pierwszego: Włodek Mozołowski, Bronisław Szafran, T. Antoniewicz, Ludwik Młynarski, J. Piwnicki... i z naszej, trzeciej: Lolo Piórecki, Rudolf Świątkowski, kapral Burczyk, W. Świtkowski, St. Oborski, Choromański, Zadencki, Jeleński... Sto trzydzieści dwa podpisy razem.

TEATR W LESIE.

Jeszcze może gdzieś ktoś chowa wśród innych szarych lub żółtych papierów, notatek z owych czasów, programy naszego teatru leśnego z roku 1916. Niewiele ich było. Każdy był oryginałem, pisanym pracownice na tornistrze lub chwiejnym stoliku w kancelarii kompanijnej. Może jeszcze ma jaki wśród swoich pamiątek Dąb-Biernacki, ówczesny dowódca 1. kompanji I bataljonu 1 pułku piechoty, może Tadek Werner, tegoż bataljonu adjutant...

Było tych przedstawień wogóle trzy czy cztery w lesie obok Sitowicz. Następných kilka odbyło się w Baranowiczach. Miały te drugie programy już pięknie litografowane, (artystycznie je pisał i zdobił ob. Bonawentura Lenart...) niektóre nawet złożone, bo dwie były fazy w życiu naszego teatru — T. K. P. — Teatru Korpusu Pomocników, jak popularnie ten teatr 1. pułku piechoty Legjonów później w Baranowiczach został nazwany. W pierwszej fazie był on naprawdę „leśnym“ teatrem, w lesie powstałym i na leśnej granym scenie, ad hoc urządzonej. W Baranowiczach już była scena prawdziwa, kostjумы, afisze i t. p.

Nudy były piekielne i brak zajęcia solidnie się dawał we znaki. Leżeliśmy w odwodzie, mieszkając pod namiotami, umocnionemi ziemią. Niektórzy przemysłnie połączywszy roboty ziemne z nawierzchniami, t. j. odpowiednie doły pokrywając namiotami, wcale komfortowe mieli mieszkania (z piecem nawet!). W takim więc „mieszkaniu“, w kom-

panji Złoma-Langnera, czwartej^{*)} wówczas, w I bataljonie, powstał pewnego jesienno dnia 1916 r. plan urządnienia przedstawienia. Pierwszy bataljon z przedstawień słyna już dawniej. Nietyle z przedstawień moze, ile z produkcji Lolka Voizé, improwizowanych jeszcze w Kętach i jeszcze nad Nidą. Teraz jednak zamierzano urządzić teatr prawdziwy, kabaret, ze sceną, z programami, z całą maszyną odpowiednią.

Program kilka głów ułożyło szybko. Produkcje zastosowano i układano z wykonawcami. Niektórzy zastrzegali sobie tajemnicę aż do dnia występu. Kazek Marczewski, Porebski, Smoła, Karol Voizé, Bronek Peszkowski i jeszcze kilku, oto pierwsi bohaterzy.

Imprezą zainteresował się cały bataljon. W kancelariach kompanijnych przepisywano programy, które oprócz punktów produkcji miały wstępy i objaśnienia. Do wstępów na przykład należało: — „Dzieciom wstęp wzbroniony — wyjątek stanowią: Mały Wir i Zdzisio-Ułan!“ Pokiwaćby tu dzisiaj trzeba głową. Zdzisław Jabłoński, rzeczywiście chłopięco wyglądający, jeden z najwaleczniejszych oficerów polskich, zginął w roku 1920. Ówczesny „mały“ Wir, młodszy brat dowódcy bataljonu piątego Wir-Konasa, obecnie jest wielkim szefem sztabu którejś dywizji, czy innym dostojnikiem.

Na pierwsze przedstawienie złożyły się następujące punkty: przemówienie wstępne, potem śpiewy, przeplatane produkcjami tanecznymi i cyrkowymi. Jednym z punktów był odczyt „poważny“ i „naukowy“.

Słowo wstępne wygłosił Kazek Marczewski. Składało się ono z całego szeregu słów i zdań, niczem nie związanych, które Marczewski akcentował i cieniował deklamacyjnie. Słuchacze początkowo nie orjentowali się zwykle (bo przemówienia te stały się pierwszym punktem każdego pro-

^{*)} Kompanja pozostawała stale ta sama, numerację tylko wówczas zmieniono.

gramu) — i starali się jakąś treść z chaosu słów i okrzyków wydobyć. Po kilku minutach jednak salwy śmiechu towarzyszyły już przemowie do końca. W późniejszych przedstawieniach niektóre słowa wstępne Kazka miały jednak sens, jak na przykład owa słynna mowa w Baranowiczach, projektująca odznaki dla korpusu pomocników. Drugim mówcą był Adolf Porębski. Ten był stale profesorem w okularach, wywodzącym różne naukowe niemożliwości. Raz występował jako badacz fauny okopowej, innym razem badał umysłowość taborytów lub N.K.N., czasem mówił o wpływach literatury staro-romańskiej na I brygadę, a stale miał różne przygody, gubiąc książki, papiery, różne części garderoby. Raz na przykład wszedł na scenę w podartym płaszczu jedynie (dosłownie), i w trzewikach na bosych nogach.

Śpiewaków było kilku. Nie pamiętam już dokładnie, kto się popisywał w lesie sitowickim, w każdym razie prym wodził zawsze Bronek Peszkowski, który przez kilka przedstawień kolejno raz śpiewał: „List Jasia do Kasi“, a drugi raz „List Kasi do Jasia“ — opisując aktualne wypadki i tęsknoty. Charakterystycznym piosenkarzem był Karol Voizé. Komponował on sam i śpiewał komponowane przez kolegów śpiewki typu andrusowsko-legjonowego, często grubo nieprzyzwoite. Na każdym też przedstawieniu zawsze się znaleźli dorywczo występujący amatorzy, jak na przykład Wiluško Zabratyński, lwowsko-łyczakowski „bohater“, znakomicie naśladujący szrapnele.

W program wchodziła też stale, od pierwszego przedstawienia, aktualna sztuczka sceniczna. Najstarszej tytuł brzmiał: „Przepracowany lekarz“. Nigdy nie była napisana i komponowali ją grający. Treścią jej była gra w karty i różne okolicznościowe perypetje. W osobach takich, jak: Grab, Wicher, Doktor, Wagner — łatwo się było domyśleć wybitnych przedstawicieli pierwszego bataljonu. Objasnienia podawały, że występują też w sztuczce osoby

najważniejsze: As, Król i Dama, i osoby całkiem nieważne — pacjenci.

Przedstawienia w Baranowiczach co do treści różniły się znacznie. Z pierwszych pozostał Kazek Marczewski ze swoją tradycyjną przemową i Bronek Peszkowski, przemieniony w „pierwszą liryczną“. Wśród nowych nabytków teatru wymienić należy przedewszystkiem kapitałnego Michała Lewickiego, komponującego piosenki i sztuczki, śpiewającego, tańczącego, i Drabika, „klasyczną tancerkę“. W sztuczkach zaczął też występować Zbigniew Orlicz. Podnieśli oni poziom teatru i stworzyli zespół amatorski, występujący jeszcze w kilka lat później z powodzeniem w Łomży, w Lublinie i t. d.

Nie brakło wesołych momentów. Z baranowickich czasów należy do nich np. emablowanie Drabika przez pruskich oficerów (swoją drogą świetnie wyglądał w peruce i w białym prześcieradle, jako grecka tancerka) — dalej bukiety, które otrzymywali obaj z Peszkowskim, zwracającym oczy po mistrzowsku, jako opuszczona Kasia, nie brakło też i „dramatycznych“ sensacji, jak owa, gdy Peszkowskiego na scenę przyprowadzono pod karabinami, prosto z koszarowego aresztu.

Może ktoś kiedyś zbada ten leśny teatr, spontanicznie powstały, mający w sobie pierwiastki pierwszych komedij greckich, co do mnie, chciałem tylko utrwalić wspomnienia z sitowieckich lasów, kiedy to o kilometr od frontu witano huraganami śmiechu „profesora“, gubiącego portki i „Kasię“, łkającą nad zmianą swoich kształtów. Witano tak, że „aktorzy“ powtarzać musieli z miejsca całe przedstawienie od początku, przy syczących i parsających pochodniach...

KARTA WOJSKOWA.

— Były karty wojskowe i stany służby „Strzelca“ i „Drużyn Strzeleckich“ — były szaro niebieskie, cenne i rzadkie już dzisiaj, małe, kwadratowe prawie „stany służby Wojsk Polskich“ kieleckie... była też podłużna, żółtawa karta wojskowa Legjonu Polskiego.

Wyszczególniono w niej na początku imię, nazwisko, wiek, zawód, później studja wojskowe, szczególnie kwalifikacje, rysopis. A potem idzie przynależność taktyczna i zmiany. A potem „udział w pracy linjowej“. Proste napisy: „Brał udział w bitwach“ — i — „od — do“. Idzie bitwa za bitwą, pokolei, pisane pismem równem, wyraźnem, kancelaryjnym, pismem obywatela sierżanta rachunkowego lub czasem ołówkiem bazgrane przez „obywatela zafrontowego“ gdzieś w ziemiance ciemnawej, przy świetle łojówki, a na dole pieczętka i podpis, gwołi poświadczenia, że wszystko to prawda.

Podpis najczęściej komendanta kompanji, rzadziej bataljonu lub pułku. Czytasz więc pismo grube, kwadratowe: „Wyrwa, kapitan“, lub nerwowe literki „Herwin“, bez stopnia lub stanowczy, pełny podpis „Śmigły-Rydz“, ze zmianami ppłk., płk. Albo Dąb - Biernacki, albo Żarski - Radoński, por., Złom-Langner, ppor. albo... tyłu ich jednak tych komendantów kompanji przecież, a każdy kartę podpisuje i niesposób wszystkich wymieniać. Czasem zasta-

nowić się jednak przyjdzie nad czymś takim: „J. Marski, sierżant, kmdt. komp.“ Aha, pomyśli rzeczy świadomy, to z jesieni 1915 roku, z wołyńskich czasów, gdy oficerów już brakło i sierżanci kompanje wodzili.

A przy wielu podpisach przeleci tylko chmura po twarzy i myśli: — „Ten już nic więcej nie podpisze nigdy“.

Obejrzałeś więc kartę z przodu, z tyłu, widziałeś rubryki „stan wyekwipowania“ i „kartę żołdu“, i „meldunki“, i „kartę urlopów“ (czystą najczęściej). Przejrzałeś przekreśloną rubrykę „kary“ — na miejscu tem panuje znowu „udział w pracy linjowej“.

A po udziale w pracy linjowej rubryka: „mianowania i awanse“. Stronica jedna tylko, i ta wystarczyła. W roku 1914 kapralem, w rok potem sierżantem mianowany, w szczęśliwym wypadku „chorążym“ został w r. 1917, a w mniej szczęśliwym, sierżantem był do końca. A wielu takich, co wcale nie awansowali, aż dopiero w 17-tym „starszego żołnierza“ dostali. A inni? Co podporucznikami wyszedłszy w pole, jako podporucznicy służyli lat cztery. A inni — tak samo jako sierżanci. Bo tym dwóm stopniom najtrudniej było u nas z miejsca ruszyć.

Bo nie dostawało się stopnia za bitność, ni za umiejętność wojskową. To przecież jest wypełnieniem obowiązku — a stopień, to funkcja. Otrzymuje się go wtedy, gdy jest miejsce. Miejsce zaś wolne tylko kula otwierała lub w „hinterlandzie“ zasmakowanie zbyt nie. Zmieniło się to trochę w roku 17, ale nie wiele i nie dla I brygady.

I dlatego rzadki u nas taki, któryby więcej jak trzy razy awansował. Ale byli i tacy...

Major Burhardt-Buckacki np., który we wrześniu 1914 r. komendantem plutonu był w pierwszej kadrowej. I porucznik Wieniawa-Długoszowski, co w tejże kompanji był szeregowcem. I szeregowiec z 1914 roku, a potem porucznik Dąbrowa-Młodzianowski. I kilku innych jeszcze.

Ale więcej takich, co jako komendanci plutonowi w pole wyszli, takich, co kompanje wyprowadzili w r. 1914 i do

końca niemi komenderowali. I moc tych szeregowców „żelaznych“, tych podoficerów „stalowych“, co cały czas jako tacy przetrwali, w jednej i tej samej kompanji w I brygadzie.

„Czytam teraz znowu dokładnie: „brał udział w bitwach“. Proste, takie łatwe zadanie, a jednak: „brał udział w bitwach“ — więc leżał w polu pod ulewą pocisków karabinowych i wstawać musiał i biec z pewnością w sobie, że „teraz do mnie strzelają“, aż, przypadłszy znowu do ziemi, oddychał lżej — „no, przecież“ — i w tej chwili jakiś pocisk, uderzywszy tuż obok głowy w ziemię, obsypywał go prochem i „oho, toż to wcale nie żarty“ — stwierdzał nie po raz pierwszy i zaczynał kopać szybko, popędzany uderzającami raz po raz obok po brózdach pociskami. A potem pomimo nich, wysuwał głowę z za okopku i poczynął szukać celu końcem karabina.

— „Brał udział w bitwach“ — więc chodził także na te patrole regularne, nocne, gdy to nie wiesz, co się czai za najbliższem drzewem, gdy każdy szelest może być początkiem końca, gdy co chwila staje ci przed oczyma trup kolegi, którego wczoraj z takiego samego patrolu przyniesiono z pierśią. odrazu z dwóch stron bagnietem przebił.

— „Brał udział w bitwach“. Widział więc także pobladłe twarze i ręce wzniesione wrogów — i głosy: „Pomiłuj“ i szeregi, jak fale szaro-zielone, idące naprzeciw z ponurym okrzykiem — „Hura“.

A może był w jakiejś bitwie ordynansem i biegał z rozkazami od plutonu do plutonu, nie bacząc na pociski, ścigające każdy jego ruch.

Albo prowadził z dumą jeńców, wziętych przed chwilą, odprowadzał ich do najbliższej komendy, sam zaś wracał obojętnie znów w wir walki.

Łańcuch cały i wykład geograficzny. Każda z nazw tych krwawo kreślona i każda odpowie ci echem jakichś bojowych wspomnień.

Wieżą z tej książeczki kilkustronicowej dni, lata pracy i trudów. I opowiada ona więcej niż tomy całe komuś, kto czytać w niej potrafi i treść jej zrozumie.

Patrzą z kart jej twarze komendantów i kolegów — wstają daty niezapomniane, wstają wspomnienia dni wielkich i pracowitych.

NA WŁOSKIM FRONCIE.

Odrębną kartę historii I brygady stanowi karta walk na włoskim froncie w jesieni 1917 oraz zimą i wiosną 1918 r. Nie walczyła tam brygada w związku pułkowym, strzelec Piłsudskiego był tam szeregowcem austriackim, ale chociaż nie było nas tam więcej według spisów z Klanec na Istrii jak 1500, to przecież znali nas od zatoki weneckiej aż po Alpy i Austriacy, i Włosi, i Francuzi; świetnym płomieniem męstwa żołnierskiego i ducha polskiego błysnął tam przedewszystkiem podoficer I brygady.

Daleko od Polski, daleko od więzionego w Magdeburgu Komendanta, często pozbawiony łączności z dowódcą 1 pułku piechoty Rydzem-Śmigłym, postawiony wobec ciężkich i nowych obowiązków, żołnierz I brygady nie stracił ducha, nie stracił łączności wewnętrznej, lecz zawsze czuł się żołnierzem polskim!

Ostro nieraz rysowały się przeciwności, wśród których należało wybierać. Obowiązki czysto żołnierskie, a obowiązki żołnierza polskiego. I rozstrzygać trzeba było na miejscu, w kilka minut nieraz.

Przebyliśmy na włoskim froncie jakieś 10 miesięcy. Niektórzy rok tam przetrzymali aż do rozpadnięcia się Austrii. Służyliśmy w pułkach piechoty i kawalerji, początkowo w zwartych grupach, potem coraz mniej nas było razem, coraz częściej nas rozdzielano, czyto umyślnie, czy aby-

wali nasi zabici, ranni lub poprostu wyrrywający w jedną lub drugą stronę... Były to miesiące ciężkiej, twardej służby bojowej. Gdyby straty wszystkie policzyć, a wątpię, czy jest to dzisiaj już możliwe, to procentowo był to chyba jeden z krwawszych okresów walk legjonowych.

Lis-Kula był naszym przedstawicielem, moralnym szefem. On to rzucił hasło: „bić się jak najlepiej, honor żołnierza polskiego utrzymać” — i dopiero po otrzymaniu odznaczenia za waleczność można myśleć o zwianiu do Włochów, lub co było daleko trudniejsze, „na hinterland”. Sam Lis dał przykład. Ranny pod Cortelazzo, dostał złoty medal i oparł się aż w Krakowie, aby się znaleźć wkrótce na Ukrainie.

Położenie oficerów szczególnie było ciężkie. Pozbawieni stopni austriackich, wszyscy byli kadetami, aspirantami, tak samo jak nasi sierżanci. Tych znowu sierżantów I brygady było kilkudziesięciu. Na nich zatem spoczywała cała odpowiedzialność za ludzi, za linię postępowania. Byli tam więc — wymieniam głównie 1 pułk piechoty — Włodek Mozołowski, Znicz-Żyborski, Adam Nebelski, Adam Popowicz, Eta-Garstka, Kazek Marczewski, Mietek Mijał, Kulczycki, Donnersberg, Sochański, Stieber, Rogowski-Surowiec, Andrzej Strach... Dzielnie trzymali się młodszy podoficerowie Heller, Sudacki, Porębski, Biły, Anczakowski, Wójcik, Mozer, Turek, Cajger, Łabaziewicz... Oto ci pierwsi przypomnieli się pamięci...

Były kompanje, w których wszystkie plutony prowadzili legioniści. Ciekawe bo jest przywiązanie do „swego” oddziału u żołnierza. Pozwolono nam wybrać sobie bataljony i kompanje, w których chcemy służyć. (Piszę o pułkach piechoty 54, 100 i 20). Prawie wszyscy starali się utrzymać przy oddziałach o dawnych, brygadowych numeracjach... I tak w I bataljonie 100 pułku piechoty c. k. armji zebrał się dawny I bataljon 1 pułku piechoty Legjonów, i w kompanjach było tak samo.

Po miesięcznym pobycie na Istrii, gdzieś z końcem października 1917 roku wysłano nas na front.

Poszliśmy wspnianiałym gościńcem przez Opcinę, Monfalcone, Cervignano... Po drodze staczane walki nie wydały się nam wcale straszne. Włosi cofali się szybko, zostawiając zapasy, amunicję, magazyny. Z tych czasów pochodzi piosenka, bo naturalnie po staremu ubierano wszystko w rymy...

„— O Monfalcone, w tej wielkiej żałobie,
miechowską bitwę przypominam sobie...
jak wówczas niegdyś w czternastym roku,
tak i tu strzelcy nie cofnęli kroku,
ale tak długo i dzielnie walczyli —
aż wszystko zjedli i wszystko wypili“...

W Monfalcone bowiem zdobyte zostały ogromne zapasy żywności, wina, konjaku, szampana nawet. Nie zawsze jednak tak było. Przyszły dni ciężkiej walki pozycyjnej nad Piawą. Ciągłe utarczki patroli, strzelaniny, brak żywności, głód poprostu. Przyszła wielka walka o Cortelazzo. 19 XII 1917 polegli: Łabaziewicz, Rudnik, Bąk, ranni zostali: Jan Śmigła, Eta-Garstka, Horoszkiewicz. Medycki... Wkrótce potem zginęli: Sudacki, Weiss, Mozer, Anczakowski, Moskwa, pporucznik Macko... Samobójczą śmiercią skończył Zinth-Rzecki... Coraz więcej ubywało ludzi — bo i na drugą stronę przechodzili, jak np. kpr. Kołodziej.

Przyszedł podział na nowe jednostki bojowe, utworzono pułk 120, który przeniesiono w Alpy, pod Monte Tomba. Było w nim, w I bataljonie ze 40 naszych. Z innymi już i łączność się straciło. Większość legionistów była w t. zw. bataljonie „A“ pod Udine.

Nadchodziła wiosna 1918 roku. (Opowiadam ciągle dzieje grupki legionistów w 100 i 120 pułku piechoty austriackiej). W lutym pod koniec miesiąca po otrzymaniu szeregu odznaczeń przeszli do Włochów całym plutonem: Plato-

wicz, Mijał, kpr. Wójcik-Jurand, kpr. Turek, Wdowiowski, Stefan Lech, Długosz, Dąbrowski i jeszcze z piętnastu... Zrobił się straszny gwałt. Pod sąd polowy poszli Sochański, Donersberg, Kulczycki, z nimi jeszcze kilku. Część została zamknięta w więzieniu w Feltre, część w Sanzaù, (Marszewski, Rejman, Wdowicki, Nebelski, Danielkiewicz, Heller, i inni...). Włókła się długo, beznadziejnie sprawa sądowa, dochodzenia. Skazano kilkunastu na 2—4 lata więzienia, a tymczasem pod różnemi pozorami pozwiewali wszyscy.

W lecie już bardzo mało legjonistów było w c. i k. armji na włoskim froncie. Już się ta armja psuła i rozlatywała.

Trzeba poznać i przypomnieć i tę część dziejów brygady. Przypomnieć żołnierskie męstwo i obywatelskie stanowisko tych, którzy, w szeregi austriackie przymusowo wcieleni, protestowali na każdym kroku.

— Nie przysięgałem Austrii.

— Z musu jestem poddanym austriackim.

— Obca władza nie ma do mnie prawa — stwierdzano stale przy każdej sposobności, ponosząc przykre następstwa w postaci kar, raportów i t. p.

Były i sprzeciwy humorystyczne, na wesoło, byle dokuczyć i utrudnić położenie, a odrębność swoją zaznaczyć. Mieszała się wzniosłość ze śmiechem, przeplatane tragiczmem, bo przecież front to był — i front bardzo ciężki. A najcięższe było uczucie sytuacji beznadziejnej, nie osobistej, bo dla pojedynczych karier droga była zawsze otwarta, ale polskiej, ogólnej, narodowej.

Przeszło jednak wszystko, minęło i dzisiaj na pobyt na włoskim froncie patrzymy jak na epizod bojowy, ciężki, przykrych chwil pełen, ale epizod chwalebny, w którym piśsudczycy nie zniżyli lotu i nie zrobili wstydu swemu Komendantowi i Wychowawcy.

SPIS NAZWISK.

Abram Adolf 55.
 Anczakowski Kazimierz 47, 85,
 88, 98, 99.
 Andrassy 15.
 Antoniewicz Tadeusz 88.
 Armatowicz Stanisław 15.
 Baczyński, generał, 74.
 Balbin — patrz Figler.
 Bandrowski-Kaden Juljusz 29,
 39.
 Bańkowicz-Skaut Czesław 17.
 Barthel de Weydenthal-Borucki
 54.
 Bąk Jan 85, 88, 99.
 Bednarz-Stwosz Stanisław 85.
 Belina — patrz Prażmowski.
 Bekrycht-Głowiński Zenon 26.
 Berbecki Leon 27, 37.
 Biegański-Stański 15, 24.
 Bieniek Józef 53, 85.
 Biernacki-Dąb Stefan 37, 40, 89,
 93.
 Biliński-Ostrowski 15, 24.
 Biły Rudolf 85, 98.
 Biłyk Alfred 29.
 Bobowski 54.
 Bobrowski Emil 16.
 Boerner Emil 19, 68.

Bochenek 15.
 Bojarski-Kuba 37, 84.
 Bończa Leonard 29.
 Bończa — patrz Karwacki.
 Borecki Józef 29, 80.
 Borucki — patrz Barthel.
 Borgjasz patrz Oberg.
 Bożywój patrz Rybka.
 Bratkowski 25.
 Brodowski Mieczysław 25, 26.
 Brodowski-Skała Stanisław 46,
 47, 52, 53, 84.
 Bryś 15.
 Bugaj Stanisław 53, 85.
 Bukacki — patrz Burhardt.
 Burezyk Tadeusz 88.
 Burkacki — patrz Orzechowski.
 Burhardt-Bukacki Stanisław 14,
 24, 25, 30, 40, 54, 87, 94.
 Bystram — patrz Stryjeński.
 Cajger Józef 98.
 Chmielewski-Rafał Czesław 14.
 Ciecierzynski Zbigniew 25.
 Ciepichał Henryk 29.
 Chorąży-Suchodolski Tadeusz
 14, 76.
 Choromański 88.

Czarny — patrz Trębiński.
Czeczeli Piotr 86.
Czerniawski Emil Jerzy 30, 85,
86.

Danielkiewicz Kazimierz 100.
Daniłowski Gustaw 68.
Daszyński Ignacy 74.
Demianczuk-Krogulec 15, 37.
Dobranicki-Kazimierz Henryk
75.

Dobrowolski-Sęk Kazimierz 25.
Dolek 25.

Domagała Stanisław 88.
Donnersberg Tadeusz 98, 100.

Douglas James 53, 55.

Długosz Kazimierz 100.

Długoszowski-Wieniawa Bole-
sław 14, 16, 17, 18, 20, 22, 23,
54, 94.

Drabik 92.

Dymidas Stefan 44, 85.

Dzieduszycki Konstanty 40.

Dziek 54.

Dąb — patrz Biernacki.

Dąbrowa—patrz Młodzianowski.

Dąbrowski 100.

Fabiszewski 26.

Ferdynand, arcyksiążę, 13.

Ferencowicz-Graf Władysław 25.

Figler-Balbin M. 44, 46, 85.

Fijałkowski-Młot 78.

Fleszar-Satyr Albin 50.

Franciszek Józef, cesarz, 74.

Frydrych Marjan (Szulc, Wiel-
gat) 26.

Fugiel 86.

Fuksiewicz Michał 68.

Gałady Janusz 54.

Garstka-Eta Kazimierz.

Gawroński Józef 85.

Geneja Zdzisław 85.

Gierycz Zygmunt 86.

Glinicki 26.

Głowacki — patrz Sarnowski.

Głowiński — patrz Bekrycht.

Głuchowski Janusz 17, 20, 21.

Goldfinger 55.

Gotlieb, art. mal., 29.

Górski-Szary Tadeusz 67, 84.

Graba-Łęcki Wacław 55.

Graba.

Graf — patrz Ferencowicz.

Greczyło Ignacy 86.

Griebel Józef 86.

Grocholski 15.

Grudziński — patrz Pększyc.

Grzybowski-Kruk Franciszek 23,
25.

Grzybowski-Sfinks 68.

Haber — patrz Mansperl.

Hanka — patrz Kulesza.

Hauke — patrz Nowak.

Hausler Dawid 86.

Hejnisz Michał 47, 51, 85, 86, 88.

Heller Stanisław 51, 98, 100.

Hempel 54.

Herhut-Warski 67.

Herwin — patrz Piątek.

Holinkowski Stefan 47, 52, 85,
87.

Horoszkiewicz-Woynicz Roman
17, 51, 52, 53, 68, 85, 86, 99.

Huk — patrz Kowalski.

Jabłoński Zdzisław 17, 90.

Jakowicki dr. 2, 29, 42, 43, 80.

Janusz — patrz Głuchowski.

Januszajtis-Żegota Marjan 13,
46, 49, 50, 55.

Jastrzębowski Wojciech 29, 30.

Jeleński 88.

Jungerman Icek 85, 86.

Jurand — patrz Wójcik.

- Kalina — patrz Zieleniewski.
 Kamiński-Luboń 25.
 Kamiński-Zagłoba Fr. 54.
 Kasprzycki-Zbigniew Tadeusz
 14, 19, 24, 68.
 Kazeł — patrz Marczewski.
 Karwacki-Bończa Zygmunt 13,
 67.
 Klatka Antoni 86.
 Klimek-Rola Piotr 26.
 Klemensiewicz Zygmunt 74.
 Knoll-Kownacki Edmund 54.
 Kolecki patrz Smoleński.
 Kołodziej 99.
 Kołodziejczyk Jakób 15.
 Konas-Wir Alojzy 37.
 Konas Henryk 90.
 Korga 54.
 Korzeniowski-Nałęcz Andrzej
 13, 54.
 Korzonek Józef 86.
 Kosiński — patrz Ogniewski.
 Kossakowski-Orwid 24.
 Kowalczewski-Sępiński Ignacy
 17, 21.
 Kowalski Wincenty (Huk Miro-
 sław) 14, 23.
 Kowalski-Leukos Stefan 55.
 Kowalik 54.
 Kownacki — patrz Knoll.
 Królewicz Antoni 36.
 Kruk Białe — patrz Grzybowski.
 Kruk Czarny — patrz Kruszewski.
 Kruszewski Jan (Kruk Czarny)
 14, 24, 25.
 Kula-Lis Leopold 61, 98.
 Kulczycki Stanisław 98, 100.
 Kulczycki-Sas Julian 58, 61.
 Kulesza-Hanka Stefan 17, 19,
 21, 22.
 Kwiecińska Jadwiga 13.
 Langner-Złom Władysław 46,
 50, 84, 85, 87, 88, 90, 93.
 Latak Jan 85.
 Lazarini 25.
 Lech Edmund Edward 46, 84,
 85.
 Lech Stefan 86, 100.
 Lelum — patrz Marusiński.
 Lenart Bonawentura 29, 80, 89.
 Lewicki Michał 92.
 Leukos — patrz Kowalski Stefan.
 Litwinowicz Aleksander 19, 68.
 Luboń — patrz Kamiński.
 Łabaziewicz Alfred 98, 99.
 Łęgowski-Średnicki Czesław 26.
 Łuczyński-Narbut 37, 84.
 Mach Kazimierz 86, 88.
 Maciszewski-Wład Seweryn 26.
 Macko Rudolf 99.
 Malski Władysław 55.
 Malinowski 25.
 Manasterski-Kordjan 38.
 Mansperl-Haber Bronisław 25,
 26.
 Marciniak Leon 55.
 Marczewski-Kazek Kazimierz
 Jan 44, 46, 47, 50, 51, 52, 55,
 84, 85, 86, 87, 90, 91, 98, 100.
 Marjański-Marski Jan Józef 30,
 54, 85, 87.
 Marynowski-Niezgoda Tadeusz
 85, 86.
 Marusiński-Lelum Mieczysław
 26.
 Masłowski Karol 86.
 Mazur Józef 86.
 Medycki 99.
 Mieczysławski — patrz Brodow-
 ski.
 Mijał Mieczysław 98, 100.
 Misky Wiktor 29, 80.
 Miszewski Antoni (Pług) 54.

- Milan Antoni 84, 86.
 Młodzianowski-Dąbrowa Kazimierz 29, 30, 79, 81, 94.
 Młot — patrz Fijałkowski.
 Młot — patrz Parczyński.
 Młynarski Ludwik 88.
 Moraczewski Jędrzej 74, 88.
 Moskwa Józef 99.
 Mozer Józef 99.
 Mozołowski-Włodek Włodzimierz 88, 98.
 Mysłowski-Rawicz Mieczysław 24, 26.
 Nabelak 15.
 Naimski Ludwik 75.
 Narbut patrz Łuczyński.
 Nebelski Adam 51, 98, 100.
 Neugebauer-Norwid Mieczysław 14, 15, 23, 76.
 Nowak-Hauke Aleksander 14, 23.
 Norwid — patrz Neugebauer.
 Nowobilski Albin 86.
 Nowobilski Władysław 86.
 Oberg-Borgjau Jan 14.
 Oborski Stanisław 47, 88.
 Ogniewski-Kosiński 14.
 Opieński-Wojczner 37, 84.
 Olszyna — patrz Wilczyński.
 Orłędzki.
 Orlich Zbigniew 92.
 Orlik 54.
 Orzechowski-Burkacki Marjan 26.
 Pakosz Michał 47, 50, 54, 84, 85, 87.
 Parczyński-Młot Stanisław 23, 61.
 Paszkowski-Krok Henryk 24, 25.
 Pączek Antoni 52.
 Peszkowski Bronisław 90, 91.
 Pększyc-Grudziński Franciszek 67.
 Piątek-Herwin Kazimierz 24, 38, 39, 42, 43, 93.
 Piłsudski Józef 23, 24, 27, 28, 30, 43, 49, 50, 51, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 75, 85.
 Piórecki Karol 29, 52, 80, 88.
 Piwnicki-Lubicz Józef 88.
 Płachta-Płatowicz Jan 74, 100.
 Podsada 44.
 Pogoń 67.
 Polniaszek-Nowopolski Franciszek 14, 23.
 Pomarański-Brzózka Zygmunt 25.
 Pomarański Stefan 23.
 Popowicz Adam 64, 98.
 Porębski-Zaremba Adolf 46, 47, 85, 90, 91, 98.
 Pożniak-Cedro 75.
 Prażmowski-Belina Władysław 14, 16, 17, 19, 20, 21, 22, 40, 54, 68, 75.
 Protasiewicz-Suszkowski Leon 69.
 Pytlewski-Świerszcz Jerzy 22.
 Rafał — patrz Chmielewski.
 Radoński-Zarski Zygmunt 22, 24, 52, 75, 93.
 Radoniewicz 84.
 Rawicz — patrz Mysłowski.
 Rejman Jan 100.
 Regalski Michał 85.
 Rogowski-Surowiec Bazyli 98.
 Roja Bolesław 54.
 Rola — patrz Klimek.
 Roman — patrz Żuliński.
 Römer Michał 55.
 Rudnik Kazimierz 99.
 Rudomino Henryk 85.
 Rybka-Bożywój Józef 30.

Rydz-Śmigły Edward 24, 25, 27,
28, 29, 30, 42, 43, 49, 50, 55,
57, 74, 80, 81, 87, 90, 93, 97.
Rylski 37.
Ryszczuk 54.

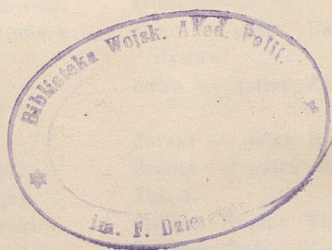
Sadzik J. 55.
Sarnowski-Głowacki Wacław 26.
Sarmat — patrz Szyszłowski.
Satyr — patrz Fleszar.
Sawa-Sawicki Jerzy 15, 24.
Sawicki, szofer, 68.
Ścieżyński-Wyżel Mieczysław 24.
Sęk — patrz Dobrowolski.
Sępiński — patrz Kowalczewski.
Sfinks — patrz Grzybowski.
Scewola — patrz Wieczorkiewicz.
Sieroszewski Wacław 69.
Skala — patrz Brodowski.
Skaut — patrz Bańkowicz.
Skotnicki-Grzmot Stanisław 17.
Sławek Walery 68.
Sławoj-Składkowski Felicjan 29,
40, 81.
Słoń 24.
Smoleński-Kolec Józef 17, 21,
22.
Smola 90.
Śmigły — patrz Rydz.
Śmigła-Kruk Jan 99.
Śniadowski 75.
Sochański Józef 55, 98, 100.
Sokol Józef 86.
Sosnkowski Kazimierz (Szeł)
27, 37, 39, 41, 50, 68, 69.
Sokolnicki Michał 68.
Średnicki — patrz Łęgowski.
Sroczyński Józef 86.
Stachiewicz-Wiecz Julian 54, 68,
69.
Stachlewski-Wiesław Bronisław
26.

Starzyński Józef 86.
Starzyński Roman 75.
Stański — patrz Biegański.
Staszek — patrz Armatowicz.
Stańczyk Wojciech 84.
Strach Andrzej 98.
Stryjeński-Bystram Paweł 16, 76.
Strzelecki Kazimierz 25.
Suchodolski — patrz Chorąży.
Sudacki Józef 47, 85, 98, 99.
Sudacki Leon 86, 99.
Sujkowski-Bolko Zbigniew 26.
Sulistrowski Zygmunt 68, 70.
Surowiec — patrz Rogowski.
Suszkowski — patrz Protassewicz.
Świątkowski Rudolf 88.
Święcki Wacław 55.
Świda Wojciech 30, 80.
Świdorski Gustaw 39.
Świtkowski Wacław 47, 86, 88.
Szafran Bronisław 88.
Szajewski Jan 52, 53.
Szarski Stanisław 30.
Szary — patrz Górski.
Szeligowski-Ratajko Bogdan 26.
Sztieber Michał 98.
Szulc-Wielgat — patrz Frydrych.
Szyszłowski-Sarmat Mikołaj 42,
43.
Tatar — patrz Trzeźniowski.
Tessaro-Zosik Stanisław 15, 16,
24, 37, 88.
Trela 54.
Trojanowski Ryszard 68.
Trzeźniowski-Tatar Zdzisław 15,
24.
Tur 46, 85.
Turek Antoni 98, 100.
Turek-Kruk Franciszek 47, 85,
86, 88.

- Tyssowski 51.
- Voize Karol 90, 91.
- Warski — patrz Herbut.
- Wądołkowski 52.
- Wąsowicz-Dunin Wiktor 50, 51, 52, 55, 85, 86.
- Wąsowicz-Dunin Zbigniew 75.
- Wdowicki Walerjan 100.
- Wdowikowski Karol 86, 100.
- Wereda — patrz Rožen.
- Werner Tadeusz 89.
- Wajs Stanisław 99.
- Wenda Zygmunt 88.
- Weroński 54.
- Werstak Bolesław 47, 85, 86.
- Wieczorkiewicz-Scewola Wacław.
- Wieniawa—patrz Długoszowski.
- Wiesław — patrz Stachlewski.
- Wierzbicki-Włodek Włodzimierz 54.
- Wierzbicki Adolf 86.
- Wilczyński-Olszyna Józef 37.
- Wiktor Edward 86.
- Wilk — patrz Wyrwiński.
- Wir — patrz Konas Alojzy.
- Wład — patrz Maciszewski.
- Włodek — patrz Wierzbicki.
- Włodek — patrz Mozołowski.
- Wnorowski 55.
- Wójszner — patrz Opieliński.
- Woynicz — patrz Horoszkiewicz.
- Wójcik-Jurand Błażej 46, 85, 98, 100.
- Wrona Franciszek.
- Wygoda 85.
- Wyrwiński-Wilk Wilhelm 30.
- Zabratyński 91.
- Zadencki Ryszard 88.
- Zalewski-Nałęcz Marcin 26.
- Załęga 16.
- Zamorski-Kordjan 29.
- Zbigniew — patrz Kasprzycki.
- Zdzisław — patrz Jabłoński.
- Zieleniewski-Kalina Tadeusz 23, 25, 29.
- Zieliński Józef 44, 52.
- Zinth-Rzecki 99.
- Złom — patrz Langner Władysław.
- Znicz — patrz Żyboriski.
- Żarski — patrz Radoński.
- Żegota — patrz Januszajtis.
- Żuk 1.
- Żuliński-Roman Tadeusz.
- Żyborski-Znicz Wacław 98.
- Żymirski 54.

BIBLIOTEKA
ZOFII JĘDRZEJA MORACZEWSKICH





2. Monaczewska
Sulejówek, 30. v. 50



P.18

71208/

11